

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2022/3

magazynhisteria.pl

DOBRY INTERES
DOM HAUPTMANNÓW
GRINGO
MIKE CHCE GRAĆ
SZCZEK
TUNEL



SPIS TREŚCI:

DOBRY INTERES	Przemysław Trafalski	3
DOM HAUPTMANNÓW	Jarosław Szczyżowski	16
GRINGO	Paulina Miękoś-Maziarska	23
MIKE CHCE GRAĆ	Rafał Łoboda	30
SZCZĘK	Grzegorz Reimer	44
TUNEL	Emil Zawadzki	51

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



DOBRY INTERES

Przemysław Trafalski

Pulchny mężczyzna o okrągłej twarzy księżyc w pełni niemal zasypiał nad kierownicą wysłużonego golfa czwórki, leniwie toczącego się po nocnym asfalcie mało istotnej dla

wszechświata drogi gminnej. Gdy kątem oka wychwycił przepływającą za szybą zieloną tablicę z napisem Kąty Bagienne, ożywił się tylko pozornie, niczym śpioch, który nie przerywając snu, przewraca się z jednego boku na drugi.

– Jeszcze jedna dziura – mruknął, dając upust frustracji spowodowanej przymusem odbycia służbowej podróży do zaprzyjaźnionej redakcji oddalonej o blisko pięćset kilometrów. – I wszystko dla jednego gównianego szkolenia.

Bogdan Koziół pracował jako dziennikarz i za takiego się uważał, wbrew opinii wielu osób, nie wyłączając kolegów z redakcji. Dziennikarz z łapanki – tak mówili, gdy odwracał się do świata plecami. Etat w podrzędnej lokalnej gazecie, która utrzymywała się na powierzchni głównie dzięki dotacjom z miejskiego ratusza, traktował jako wyznacznik wysokiego statusu społecznego. Fakt, że burmistrz płacił i wymagał, nie przeszkadzał mu w kreowaniu siebie, jako dziennikarza niezależnego. W pełni skrzydła rozwijał jednak dopiero na popularnym portalu społecznościowym, gdzie pod nickiem Bogus1972, z satysfakcją godną maniaka, obsmarowywał kolegów po fachu, wytykając im niemieckie lub, co gorsza, żydowskie finansowanie, a bywało, że i korzenie. Spędzał w ten sposób niemal każdy wolny wieczór i dopiero po wylaniu kilku litrów gęstego jadu, z poczuciem dobrze spełnionego patriotycznego obowiązku, kładł się spać. Tego wieczoru miał jednak przed sobą jeszcze kilka godzin jazdy, bez snu i anonimowych komentarzy. Gdy wyruszał w podróż, sądził, że zrobił dobry interes, zgadzając się na delegację. Tak dawno nie był nad morzem, że w pierwszym odczuciu pomysł wydał mu się znakomity. Teraz z niesmakiem rewidował tę opinię.

Kąty Bagienne powitały go monotonną ścianą lasu, podlaną solidną porcją mgły, po jednej i po drugiej stronie drogi. Nawet reflektory samochodu wydawały się znudzone tym widokiem, co najwyraźniej odbiło się na spadku ich niemal legendarnej czujności. Tym większym zaskoczeniem był wyłom, który nagle przerwał leśny pasywizm.

Bogdan aż podskoczył na fotelu. Zwolnił i wtopił wzrok w krajobraz, przelewający się za boczną szybą. Pierwszy plan wypełniał na całej szerokości niski ceglany murek. Za nim otwierała się ciemność, przebita brutalnie kilkoma, może kilkunastoma, świetlistymi punktami trochę żółtymi, trochę pomarańczowymi i trochę białymi. Cmentarz, pomyślał. Cholerny cmentarz w środku lasu.

Już miał odwrócić głowę i dodać gazu, gdy zobaczył coś jeszcze. Przed cmentarną bramą stała nieruchomo drobna postać. Tonęła w nocnym mroku i gęstej mgłę, więc trudno było precyzyjnie orzec, kim jest, niemniej okoliczności sprawiły, że Bogdana przeszył dreszcz, a ręce pokryła gęsia skórka. Mimo to zwolnił jeszcze bardziej i wyostrzył wzrok.

To była dziewczynka, może dziesięcioletnia, może starsza, nie mógł mieć pewności. Ciemne kręcone włosy opadały na barki. Ubrana raczej zwyczajnie (Bogdan nigdy nie był specjalistą od dziecięcej mody), jeśli przymknąć oko na porę dnia. Sukienka w pstrokate esy-floresy – choć może raczej były to kwieciste wzory – sięgała chudych kolan, łączących stawami tyczkowate, dygoczące z zimna nogi. Do tego za duża ciemna bluza, z białym hip-hopowym napisem, którego ze względu na liczne wywijasy i zakrętasy, Bogdan nie próbował nawet odczytać. Dziewczynka wpatrywała się w mężczyznę po części wystraszoną, a po części hipnotyzującym wzrokiem, jakby starając się odciągnąć jego uwagę od tego, co trzymała w ręce. A trzymała czarny foliowy worek, którego dolna część leżała teraz na ziemi. Był dość duży, zdecydowanie z tych grubszych, budowlanych. Tego Bogdan był pewien. I był pewien, że w worku coś się ruszało. Mężczyzna poczuł nagle, że jakaś wewnętrzna siła nakazuje mu wdepnąć pedał gazu i wiać gdzie pieprz rośnie.

Jednak po przejechaniu kilkudziesięciu metrów, zatrzymał się gwałtownie.

– Cholera – mruknął. Była pierwsza w nocy. Przed cmentarzem samotne dziecko. Tylko dziecko. – Cholera! – Uderzył pięścią w kierownicę.

Wrzucił wsteczny bieg, obrócił się lekko i zerknął przez ramię. Jednak dziewczynki już nie było ani przed bramą, ani w jej pobliżu. Ostrożnie wysiadł z samochodu. Rozejrzał się, ale nie ruszył się z miejsca, jakby w obawie, że golf zostawiony sam sobie nagle uruchomi silnik i porzuci go, skazując na towarzystwo tutejszych truposzy.

– Hej! Jest tam kto?! – Nie potrafił wydusić z siebie niczego więcej. I nie usłyszał niczego w zamian.

Dwie minuty później jechał już przed siebie na pełnym gazie. Po mniej więcej kilometrze zobaczył pierwsze zabudowania Kątów Bagiennych. Mgła, choć zdecydowanie rzadsza i bardziej przejrzysta, dotarła tutaj przed Bogdanem. Był środek nocy, więc miasteczko spało w najlepsze. Wyjątkiem był mały sklepik spożywczo-monopolowy przy głównej ulicy. Mężczyzna zatrzymał się na parkingu i wszedł do środka, nerwowo oglądając się za siebie. W ciągu kilku minut jazdy od cmentarza do miasteczka uznał, że bez odpoczynku nie da rady prowadzić dalej. Musiał się przespać, zwłaszcza że, jak ostatecznie uznał, miał zwidy. Na szkolenie wybrał się z dwoma dniami zapasu, przeznaczonymi na plażowanie, więc mógł sobie pozwolić na dłuższy postój. Wraz z zakupem ćwiartki czystej i paczki żółtego sera w plasterkach uzyskał od sprzedawcy informację, gdzie może przenocować. Okazało się, że obecny w sklepie jeden z jego stałych bywalców chętnie udostępni przybyszowi pokój w swoim mieszkaniu, w zamian za płynnie symboliczną

gratyfikację. Bogdan nie negocjował stawki i wkrótce szczęśliwy, bo znieczulony zakupioną kolacją, zasnął w śmierzącym, ale ciepłym lokum.

Obudził się o siódmej. Chwilę zajęło, zanim przypomniał sobie, gdzie jest i dokąd zmierza. Wyjrzał przez brudne okno, które było jednak wystarczająco czyste, aby wpuścić do środka kilka promieni słonecznych. Ten widok sprawił Bogdana w dobry nastrój. Teraz był już pewien, że wczorajsza przygoda była wyłącznie konsekwencją przemęczenia. Ubrał się, opryskał dezodorantem i ruszył do sklepu. Tam przywitał się ze swoim gospodarzem, który, jak się okazało, był nie tylko najwierniejszym klientem, ale także tym, który zawsze pierwszy przekracza podwoje małomiasteczkowego monopolowego raj. Na suchość w gardle nie ma rady, zaśmiał się w duchu Bogdan.

– Jak się spało? – Zachrypiął uśmiechnięty gospodarz o wyglądzie stereotypowego żula po sześćdziesiątce.

– A dziękuję, bardzo dobrze.

– Trochę pan chrapał.

– Przepraszam, taka przypadłość. Jeszcze raz dziękuję, że mnie pan przenocował.

– Eee, nie ma o czym mówić. Trzeba sobie pomagać, nie?

– Pan Stach, to człowiek dusza – wtrącił się sprzedawca, dodając przy akompaniamencie mrugającego oka: gdy płyn się leje, zwawo się rusza.

Cała trójka zaśmiała się gromko.

– A pan to skąd? – Zaciekawiał się sprzedawca.

– I dokąd? – Zawtórował mu pan Stach.

– Z południa na północ – zaśmiał się Bogdan i śmiałyby się tak pewne dłuższą chwilę, gdyby drzwi do sklepu nagle nie otworzyły się i nie stanęła w nich dziewczynka w zbyt dużej granatowej bluzie i sukience w kwieciste wzory. Co gorsza, na ubraniu dziewczynki mężczyzna dostrzegł co najmniej kilkanaście czerwonych plamek o nieregularnych kształtach.

– Dzień dobry – powiedziała ściszym głosem, unikając wzroku Bogdana. Bogdan jednak nie był w stanie oderwać wzroku od dziewczynki. Poczł mrowienie na karku.

– Dzień dobry, Aniu – przywitał się sprzedawca. – Co ci podać?

– Trzy bułki, dżem truskawkowy i mleko, poproszę. – Dziewczynka podniosła lekko głowę, ukazując świeży siniak pod prawym okiem.

– To wszystko? – Sprzedawca starał się nie zwracać na niego uwagi. – Osiem sześćdziesiąt pięć.

– Dziękuję.

– Jak tam babcia?
– Żyje.
– A brat?
– Wciąż płacze.
– Daj mu jeszcze trochę czasu, poradzi sobie.
– Mam nadzieję. – Odparła, po czym odwróciła się na pięcie i ze spuszczoną głową ruszyła do wyjścia.

Gdy otwierała drzwi, Bogdan nie wytrzymał.

– Hej, dziewczynko! – Zrobił krótką pauzę, szukając pomysłu na najmniej inwazyjną formę pytania, które chciał zadać. W końcu się poddał i darował sobie finezję. – Byłaś dziś w nocy na cmentarzu?

Sprzedawca i pan Stach spojrzeli po sobie, jakby usłyszeli wariata.

– Nie, proszę pana. Do widzenia. – Dziewczynka rzuciła pospiesznie i zniknęła za drzwiami.

Bogdan był blady jak ściana.

– No to żeś pan dowalił. – Zaśmiał się szyderczo pan Stach.

– Cmentarz? W nocy? – Dorzucił sprzedawca. – Pan wczoraj wypił tylko tę ćwiartkę czy coś jeszcze?

– Przepraszam, musiało mi się wydawać. – Bogdan spróbował najpierw uspokoić kołatanie serca, a potem znaleźć sposób, by ratować twarz, okrągłą jak księżyc w pełni. – Kim była ta dziewczynka?

– To Ania Styrska. – Sprzedawca zaczął podejrzliwie przyglądać się partii butelek wódki, z której jedną sprzedał w nocy Bogdanowi. – Mieszka z młodszym bratem i babcią od strony ojca w rozsypującej się chałupie na obrzeżach miasteczka.

– Babka, to równa kobitka – zachrypiał wesoło pan Stach.

– Alkoholiczka – dodał sprzedawca.

– Od razu alkoholiczka... – Pan Stach nie krył oburzenia.

– Rok temu matka Ani i Bartusia zginęła w wypadku – wyjaśnił sprzedawca. – Dzieciaki trafiły pod opiekę babki. Nie mają lekko.

– Rozumiem. – Bogdan pokiwał głową.

– Raczej pan nie rozumie. – Sprzedawca zrobił się śmiertelnie poważny. – Babka traktuje swoje wnuki jak służących, wyżywa się na nich, często bije, ech...

– Nie mają innej rodziny?

– Wygląda na to, że nie.

– A ojciec?

– Przepadł bez śladu wiele lat temu.

– To równy chłopak był – wtrącił pan Stach.

– Och, przestań już, człowieku! – Sprzedawca rzucił najwierniejszemu klientowi ostre spojrzenie.

– Dobrze, już dobrze, o co ten ambaras?

– Panie Stachu, czy mogę jeszcze nie zabierać swoich rzeczy z pokoju? – W głowie Bogdana niespodziewanie zagościł dziwny pomysł, u którego podstaw leżała wrodzona skłonność do wtykania nosa w nie swoje sprawy.

– Oczywiście, pańskie rzeczy będą bezpieczne, jak biżuteria mojej świętej pamięci mamusi, ukryta w skarpecie pod poduchą.

– Dziękuję. – Klepnął pana Stacha w ramię, kupił cztery batoniki czekoladowe i wyszedł ze sklepu.

Pojechał na cmentarz. W świetle dnia świat wyglądał zupełnie inaczej. Podobnie jak odwaga Bogdana. Sam nie wiedział, co spodziewał się znaleźć, ale miał nadzieję, że gdy już to znajdzie, wszystko stanie się jasne.

Na cmentarzu kilka osób krzątało się przy nagrobkach. Bogdan, starając się nie zwracać na siebie uwagi, spacerował alejkami i czytał nagrobne inskrypcje. Rozglądał się, nasłuchiwał, węszył. W końcu rozbolały go nogi i uznał, że pomysł z cmentarzem nie był najlepszy.

Wtedy, jak na zawołanie, zobaczył czarny foliowy worek, leżący u szczytu piaskowo-ziemnej mogiły, zamkniętej w czworoboku zbitym z nieheblowanych desek. Na szczycie nagrobka tliła się mała szklana lampka w kształcie serca. Napis na tabliczce głosił: Dorota Styrska, żyła lat trzydzieści osiem, zginęła śmiercią tragiczną. Bogdan sprawdził, czy nikt go nie obserwuje, kucnął przy worku i delikatnie go pomacał. Miękkość tego, co znajdowało się w środku była co najmniej niepokojąca. Zajrzał do środka. Smród, który wydobył się z czarnej otchłani, uderzył mężczyznę lewym prostym, odrzucając głowę tak daleko, jak tylko pozwalały kręgi szyjne.

– Kurw... – Bogdan poczuł, że czekoladowe batoniki, które zjadł na śniadanie, właśnie odkryły drogę powrotną. – Co do...?

Zajrzał głębiej i ponownie zaklął. W środku znajdowało się zwinięte w kłębek truchło zwierzęcia, prawdopodobnie psa. Sierść posklejana przez wciąż wilgotną krew wyglądała obrzydliwie. Zresztą całe wnętrze kleiło się od krwi. Mężczyzna zakręcił worek i z ulgą

zostawił go tam, gdzie leżał. Po kilku minutach wracał już do miasteczka cięższy o kilka kilogramów czarnych myśli.

Z marazmu wyrwał go widok rozsypującego się domu tuż przy wjeździe do miasteczka. Był pewien, że to chałupa z opowiadań sprzedawcy. Reszta domów wyglądała przy niej jak pałace gwiazd filmowych. Zahamował z piskiem.

Po co mi to? – pomyślał, gdy pukał do drzwi.

Otworzyła wystraszona i kompletnie zaskoczona Ania. Gdzieś z wnętrza wydobywał się głośny płacz dziecka, który trwał niczym odtwarzana bez przerwy płyta długogrająca.

– Czy zastałem twoją babcię? – Bogdan starał się mówić w sposób możliwie zrównoważony, ale ani irytujący płacz, ani tkwiący w pamięci widok zafoliowanego martwego zwierzaka nie ułatwiał sprawy.

– Czego pan chce?

– Chcę porozmawiać z babcią. Jest w domu?

– Kto to?! – Krzyk starej kobiety, dobiegający z wnętrza, wskazywał, że najwyraźniej była.

Bogdan odsunął delikatnie Anię i zdecydowanie wszedł do środka.

– Dzień dobry. – Skierował się w kierunku, z którego dochodził głos. – Przepraszam, że tak nachodzę, ale...

– Kim pan jest! – Kobieta, biorąc pod uwagę jej wiek i wygląd, wyrosła przed Bogdanem dość niespodziewanie. Z zewnątrz nie różniła się specjalnie od pana Stacha. Szara, zmęczona twarz, podkrążone i opuchnięte oczy, krwiste pajęczki w okolicach policzków i nosa, a do tego czerwone plamki na skórze i mocno przerzedzone siwe włosy. Żuł po sześćdziesiątce rodzaju żeńskiego.

– Jestem dziennikarzem. – Uznał, że takim wstępem, od razu wywinduje swoją pozycję w oczach rozmówczyni. – Chciałem porozmawiać z panią na osobności, jeśli można.

– A o czym?!

– O pani wnuczce – powiedział szeptem, najciszej jak potrafił, ale i tak nie wystarczająco cicho, bo Ania drgnęła.

– Co ta mała źmija znowu przeskrobała? – zapytała, gdy zamknęli się w pokoiku z tyłu domu. Na podłodze stało kilka pustych butelek po różnych, z reguły najtańszych, gatunkach wódki. Bogdan ucieszył się, że drzwi stworzyły marną, ale zawsze, izolację od męczącego płaczu, który wydawał się nie mieć końca.

– Przejeżdżałem wczoraj w nocy w okolicy cmentarza... – zaczął.

– Masz pan jakiś problem?

– Nie, nie! – zaprotestował, po czym najpierw opowiedział o nocnej przygodzie, a potem o porannej wizycie na cmentarzu. – Sama pani rozumie, wydarzyło się coś dziwnego i okropnego zarazem – dodał, gdy już skończył.

– Widać za łagodnie traktuję tę małpę. Same z nią problemy – warknęła. – A jej braciszek nie lepszy. Odkąd ta zdzira, ich matka, postanowiła uwolnić się od obowiązków, jakie nałożył na nią pan Bóg, mały panicz ciągle ryczy. Twierdzi, że nie przestanie, dopóki mama nie wróci. Rozumiesz pan? Oszaleć przez to można. Dobrze, że chociaż opieka społeczna na nich łoży.

– Proszę porozmawiać z wnuczką, może ma jakiś problem, może... – zająknął się, gdy zauważył leżący na komodzie rulon z grubej, czarnej folii.

– Ona jest jednym wielkim problemem, ale porozmawiam z nią, porozmawiam. Bóg mi świadkiem, że to zrobię.

Gdy Bogdan opuszczał rozsypujący się dom, poczuł ulgę z powodu dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku. Zignorował zupełnie wrzaski babki i płacz Ani, teraz nawet głośniejszy niż jej brata, które, choć tłumione przez ściany, były jednak wyraziste, dosadne i z całą pewnością bolesne.

Wrócił do mieszkania, w którym spędził noc. Spakował się i już zbierał się do wyjścia, gdy w progu stanął pan Stach.

– Kochany panie Bogdanie – zaczął nieśmiało. – Nie znalazłby pan pięciu złotych, bo chciałoby się gardło czymś przepłukać przed wieczorem, a nie ma za co.

Bogdan, który zdążył już polubić swojego gospodarza, bez zbędnego marudzenia przeszukał kieszenie i wyciągnął dwie piątki.

– Masz pan, na zdrowie.

– O! Dobry człowieku! – Pan Stach uśmiechnął się szeroko, odsłaniając pustą przestrzeń po górnych jedykach. – Skoro tak, to nie mogę pana wypuścić bez symbolicznego pożegnania. Tylko jeden kieliszeczek, panie kochany, po pierwszych pięciu kilometrach śladu we krwi nie będzie. No, co pan powiesz?

Bogdan, któremu alkohol nigdy nie przeszkadzał w prowadzeniu samochodu, podrapał się po głowie, poklepał po brzuchu i niczym Onufry Zagłoba, przymknąwszy jedno oko, drugie pozostawiając otwarte, odrzekł:

– Właściwie, czemu nie?

Nim zapadł zmierzch, jedna pięćdziesiątka w cudowny sposób przeobraziła się w jeden litr, a Bogdan, bełkocząc, stwierdził, że jednak nie siądzie za kółkiem. Zamiast tego, podpierając po drodze ścianę, wrócił do łóżka i smrodu, które oswoił poprzedniej nocy.

Śnił, że jest uwięziony w małym pomieszczeniu o czarnych, falujących ścianach. Jedynym źródłem mdłego światła był wąski świetlik w suficie. W pewnym momencie ściany, szeleszcząc złowrogo, zaczęły zbliżać się do siebie. Bogdan rzucił się na jedną ze ścian, potem na drugą, wreszcie w panice atakował wszystkie po kolei, ale nie był w stanie ich ani zatrzymać, ani naruszyć struktury materiału. Po krótkiej chwili niemal nie mógł się ruszyć. Czarna folia okręciła się wokół niego, odbierając swobodę ruchu i dostęp powietrza. Wtedy posypały się ciosy. Nie potrafił zlokalizować ich źródła, ale spadały z każdej strony. Uderzały w głowę, w korpus, w kończyny. Początkowo jakoś to znosił. Bolało, ale powtarzał sobie, że zaraz się skończy. Nie skończyło się. Uderzenia były coraz mocniejsze, już nie tylko obijały ciało, ale miażdżyły, łamały kości i otwierały rany. Miał wrażenie, że narządy wewnętrzne co chwila zmieniają swoją lokalizację, a czaszka rozpada się na fragmenty. Czuł krew, spływającą po twarzy. Czuł, że cały pływa we krwi. Jego krwi.

Obudził się po pierwszej w nocy, krzycząc jak dziecko. Potworny ból rozrywał głowę. Usiadł i duszkiem wypił pół litra wody mineralnej. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju, próbując zapanować nad kotłowaniną wewnątrz czaszki. Pomyślał, że oszaleje, jeśli czegoś nie sprawdzi.

Kilka minut później jechał zygzakiem w stronę cmentarza. Z piskiem zatrzymał się wśród obłoków mgły tuż przed zamkniętą bramą. Furtka była otwarta, więc ominęła go wątpliwa przyjemność przeskakiwania przez murek. Pobiegł od razu do grobu Doroty Styrskiej. Krążący w żyłach alkohol dodawał odwagi i pewności siebie, choć balansowanie ciałem pozostawało sporo do życzenia.

Na grobie nadal tliła się lampka w kształcie serca. I nadal u jego szczytu leżał czarny worek. Jednak wyglądał trochę inaczej niż ten, do którego Bogdan zaglądał w ciągu dnia. Padł na kolana i ostrożnie pomacał zawartość przez folię. To było coś innego. Drżącymi rękami chwycił brzegi worka i zajrzał do środka. Gdyby można było zobaczyć odór, Bogdan prawdopodobnie zostałby oślepiiony. Odwrócił głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, po czym zwolnił prawą rękę i wyjął z kieszeni zapalniczkę. Ognisty język wysunął się z wylotu gazu i zadrżał w niezbyt stabilnej dłoni mężczyzny. Udało mu się nawet stopić fragment folii, co powołało do życia nową interesującą mieszankę zapachową. Bogdan jeszcze raz zerknął do środka i niemal natychmiast wypuścił brzeg worka z ręki. Zgiął się w pasie i zwymiotował. W środku leżała ręka, blada jak kreda podlana krwistym sosem.

– Nie, nie, nie – zajęczał, plując plwocinami. – To nie dzieje się naprawdę.

Kopnął worek, odpychając go jak najdalej od siebie. Podwinięta folia odsłoniła martwą dłoń. Był wściekły, że tu przyjechał i nie potrafił przypomnieć sobie powodu, dla którego to

zrobił. Wiedział jednak, że nie może tego tak zostawić. I na pewno nie będzie czekał do rana, tym bardziej że mgła dookoła zagęszczała się, stawiając do pionu wszystkie włosy na jego pulchnym ciele. Wyjął komórkę i niemal zatwierdził połączenie z policją, ale w ostatniej chwili cofnął palec. Uświadomił sobie, że funkcjonariusze zainteresują się nie tylko makabrycznym znaleziskiem, ale również stanem Bogdana. Ktoś w końcu zapyta, jak tu dotarł. Nie mógł pozwolić sobie na utratę prawa jazdy. Nie, najpierw wróci do miasteczka i dopiero wtedy poinformuje służby. Plan był naiwny, ale i tak wydał się Bogdanowi sporym osiągnięciem intelektualnym.

Do swojej bazy w miasteczku jednak nie dotarł. Nie potrafił przejechać obojętnie obok znajomego domu. Gdy tylko zobaczył rozsypującą się fasadę budynku uznał, że powiadomienie o wszystkim prawnej opiekunki Ani jest jego świętym obowiązkiem. Bo co do tego, że dziewczynka maczała w tym palce, nie miał wątpliwości. Światła we wszystkich pomieszczeniach były zgaszone, co specjalnie go nie zdziwiło. W końcu był środek nocy. Zapukał do drzwi. Gdy nikt mu nie otworzył, załomotał pięścią. Żadnego odzewu. Ostrożnie nacisnął klamkę, a drzwi bez najmniejszego protestu ustąpiły, pojękując jedynie cicho na zawiasach. Wyczuł dziwny, niezbyt przyjemny zapach.

– Dobry wieczór. – Wybełkotał w stronę ciemności, przyglądającej mu się z zaciekawieniem z wnętrza domu. – Przepraszam, że nachodzę o tej porze, ale...

Nie dokończył, bo panująca wszędzie cisza zbiła go z tropu. Czuł się głupio. Był intruzem, żeby nie powiedzieć – włamywaczem.

– Halo! Jestem dziennikarzem, byłem tu wczoraj... – Zatrzymał się, bo nie był w stanie przebić się przez ciemność. Przyłożył dłoń do ściany w poszukiwaniu włącznika lampy. Nie mógł niczego wymacać, więc posuwał się dalej małymi kroczkami. Sapiąc, wszedł do pokoju gościnnego. Wtedy dziwny, nieprzyjemny zapach, który wyczuł wcześniej, przekształcił się w intensywny kwaśny odór. Zrobił jeszcze trzy kroki i zahaczył butem o coś masywnego leżącego na podłodze. Zachwiał się i próbując ratować sytuację, zrobił następny krok, w nadziei, że pozwoli to utrzymać równowagę. Wtedy prawa noga wyrwała do przodu, ślizgając się na bliżej nieokreślonej mazi, niczym na topniejącej lodowej ślizgawce. Bogdan w niepełnym szpagacie wylądował na podłodze. Jedna z jego dłoni zatopiła się w rozlanej na podłodze lepkiej cieczy, druga opadła na miękki spory przedmiot, którego powłoka w dotyku niebezpiecznie przypominała ludzką skórę. Mężczyzna momentalnie poderwał się z powrotem na nogi, które co prawda nadal się rozjeżdżały, ale tym razem Bogdan zmusił się do zachowania równowagi. Wygrzebał z kieszeni zapalniczkę i drżącymi palcami wydobył z niej radosny płomień.

Nie wiedział, czy najpierw krzyknął, a dopiero potem wypuścił zapalniczkę z rąk, czy było dokładnie na odwrót, niemniej wrzask, jaki z siebie wydał, zagłuszył na chwilę wszystkie myśli. Obraz, który w krótkiej chwili mignął Bogdanowi przed oczami, sprawił, że po jego nogawce pociekła strużka ciepłego moczu. Na podłodze, w kałuży krwi, leżał korpus babci Ani. Obok znajdowały się odcięte nogi i ręka, ułożone równo obok siebie. Zmasakrowana twarz kobiety wyrażała mieszankę strachu, obłądu i przerażenia. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się prosto w Bogdana z dziką pretensją, jakby pytały: po co wtrącasz się w nie swoje sprawy?

W panice jeszcze raz podjął próbę, tym razem skuteczną, wyciśnięcia włącznika światła.

– O, Jezu... – Nie potrafił wydusić z siebie niczego więcej, zresztą widok zmasakrowanych zwłok kobiety ukazany w blasku sufitowej lampy nie wymagał bardziej rozbudowanego opisu. Poza tym niewiele osób na świecie potrafiło mówić podczas wymiotowania żółcią. Bogdan do tej wąskiej grupy nie należał.

Wyciągnął komórkę. Zanim zdążył wystukać numer policji, zza kanapy wychyliła się, a potem powoli wstała niewysoka postać w granatowej bluzie i sukience w kwiaty. Plamy krwi na ubraniu były teraz zdecydowanie bardziej wyraziste niż poprzedniego dnia w sklepie. Może dlatego, że były świeże. Gdy Ania stanęła na wprost mężczyzny, zza pleców wyciągnęła małą siekierę, całą w soczystej czerwieni, która obficie skraplała się na drewnianą podłogę. Ostatnia rozmowa z babcią musiała być poważna, bo pod każdym okiem dziewczyny dojrzewała sporych rozmiarów fioletowa śliwka.

– Po co pan wrócił? – zapytała, świdrując pełnym wyrzutu wzrokiem spod lekko opuszczonej głowy. Kilka poskręcanych i posklejanych krwią kosmyków opadło na czoło i oczy dziewczyny.

– Coś ty zrobiła...? – Niespodziewanie przestał bełkotać, ale dla odmiany bełkotać zaczęło całe jego ciało.

– Wymieniam sukę na mamę.

– Co?!

– Gówno!

– Ty...! – Nie wytrzymał i ruszył w kierunku Ani. To tylko mała dziewczynka, pomyślał, tylko...

Przy trzecim kroku poczuł kłujący, napierający ból w pośladku. Zawył, odruchowo sięgnął ręką w tamtym kierunku i obrócił się. Za plecami stał brat Ani z wycelowanym w kierunku mężczyzny młodzieżowym łukiem. Ciężka drgała, jak kobieta, która dowiedziała się, że przeżyty właśnie orgazm to nic złego i już nie musi się go wstydzić. Strzała nie weszła

głęboko, ale wystarczająco, by na spodniach Bogdana wykwitła plama krwi. Wściekły mężczyzna zdążył tylko pomyśleć, że dzieciak ma taką minę, jakby miał zaraz zacząć ryczeć, gdy silne uderzenie siekiery w plecy powaliło go na kolana. Na kolejne czekał tylko chwilę. Trzeci cios spadł, gdy leżał już obok korpusu babci Ani i wpatrywał się w jej rozszczeniowe martwe oczy. I wtedy brat Ani rzeczywiście zaczął płakać.

– Już dobrze, Bartuś. – Ania uspokajała brata łagodnym głosem. – To nawet lepiej. Teraz na pewno nam się uda.

– A jak nie? – załkał chłopczyk. – Z Kropkiem się nie udało.

– Bo to był pies – wyjaśniła z powagą Ania. – Musiałam źle zrozumieć zasadę czaru.

– Może on w ogóle nie działa? – powiedział wystraszony i znowu się rozplakał.

– Działa, działa – zapewniła. – Dzisiaj jeszcze raz przeczytałam to, co zapamiętałam ze snu. Zresztą posłuchaj. – Ania wyjęła z kieszeni bluzy złożoną w kostkę kartkę. – Brzydka pani z kosą powiedziała wyraźnie:

Choć kochacie, ja zabieram,

Życia wszelki ślad zacieram,

Bezlitośnie w mrok prowadzę,

Tutaj tylko ja mam władzę.

Lecz wykupić się możecie,

Jeśli tylko tego chcecie,

W zamian za nią wezmę inną,

Duszę mi przynieście winną.

– Czyli kropek był zły? – Chłopiec zapytał, ocierając rękawem gile wypływające z nosa.

– Był zły, bo był... dobry. Niczym nie zawinił. Rozumiesz? Dla brzydkiej pani ze snu to marna wymiana. Co innego ta suka – wskazała głową na zwłoki babci. – Facet też miał pewnie niejedno na sumieniu.

– Skarżypyta – zauważył chłopiec.

– Właśnie. Brzydka pani robi z nami dobry interes.

– I mama wróci?

– Wróci.

Bogdan, który jeszcze żył, chciał zaprotestować, wyjaśnić. Jęknął, próbując unieść prawą rękę. Na ten widok siekiera w rękach dziewczynki natychmiast zatopiła się w jego czaszce, nie pozwalając wypowiedzieć ani jednego słowa w mowie obronnej. Bartuś znowu uaktywnił niewyczerpany rezerwuar łez.

– Jego też musimy porąbać – zauważyła Ania. – Takiego cielska tym bardziej nie dam rady zataszczyć na cmentarz. Czyli robimy tak, jak z babcią: ja rąbię i noszę, ty pakujesz. Musimy się uporać do wschodu słońca. Dasz radę?

Chłopiec pokiwał głową i nie przestając płakać, sięgnął po zwinięte w rulon czarne foliowe worki budowlane.

Gdy intensywny pomarańcz nad horyzontem zaczął spychać czerń nocy poza krawędź wszechświata, Ania pojawiła się w progu, ocierając rękawem pot z czoła. To była ostatnia transza. Z ulgą oparła się o zamknięte drzwi. Odetchnęła i podeszła do siedzącego w kącie zapłakanego brata. Z satysfakcją odnotowała, że Bartuś umył podłogę. Co prawda nie zrobił tego perfekcyjnie, ale i tak pokój znowu bardziej przypominał wnętrze rodzinnego domu, niż rzeźnię. Usiadła obok chłopca i przytuliła go.

Kilkanaście minut później pierwsze promienie słoneczne wdarły się przez zasłony i szczelinę pod drzwiami.

Usłyszeli delikatne kroki na zewnątrz, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Rytm przypominał ich ulubioną piosenkę sprzed lat:

Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,

Tańcowała dokolusia, dokolusia,

Tańcowała ranną rosą, ranną rosą

I tupala nóżką bosą, nóżką bosą.

Brat Ani przestał płakać.



DOM HAUPTMANNÓW

Jarosław Szczyżowski

Jestem w pełni świadomy, że ten niezwykle przypadek, który tu opiszę, przyjęty zostanie z powątpiewaniem. Wszystko to z góry przewidziałem, ale ufam, iż wystarczy mi odwagi, by stawić czoło wszystkim sceptykom i niedowiarkom. Po dojrzałym namyśle postanawiam w sposób możliwie najprostszy i najbardziej prawdziwy opowiedzieć o tym, co widziałem i czego doświadczyłem tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy przyszło mi pełnić nocny dyżur w Domu Hauptmannów – małym muzeum położonym na uboczu górskiego miasteczka na Dolnym Śląsku.

Wyrastał na zboczu góry, pośród starych świerków i modrzewi. Zasługiwał na miano dziwnego. Cieszył się reputacją domu, w którym dzieją się rzeczy nie dające się

wytłumaczyć. Rzeczy, według których nierzeczywistość powinna znajdować się wyłącznie w zakurzonych i zapomnianych powieściach dziewiętnastowiecznych pisarzy odurzonych absyntem i morfiną.

Dom otoczony był starym ogrodem z usytuowanym pod wiekową lipą nagrobkiem jednego z braci Hauptmannów. Na środku, czarną otchłanią zionął staw porośnięty zaniedbanymi i przerośniętymi krzewami. Dochodziło stamtąd chóralne buczenie nocnych owadów, zapach wilgoci i niepokoju.

Stróż, który przekazywał mi dyżur, opowiadał o tym, co tu widział i słyszał na własne oczy i uszy. Mówił o rzeczach, o których słuchać nie chciałem. I nie słuchałem. Szczerze, miałem to gdzieś. Całą moją uwagę skupiłem na tym przedziwnym budynku, rozglądając się wokół. On ciągle głądził, a ja puszczałem to wszystko na wiatr. Niech leci. I poleciało. Pognało, odbijając się echem od ścian, znikając gdzieś za rogiem, za drzwiami, w szparach drewnianej podłogi.

Sprawy przedstawiały się tak, że dostawałem zawrotu głowy na myśl o spędzeniu tu nocy. Niczym w katakumbach, gdzie wizje tych, których już nie ma, zdobią płótna wiszące na ścianach pokrytych kurzem.

Siedzę teraz sam i nawiedzają mnie dziwne i ponure myśli. Czarne demony rosły w mojej głowie od czasu, kiedy trzymałem w ręku klucze do budynku. Być może to czas osądzi tej nocy, kto jest szalony, a kto nie. Nimb ponurej, żałobnej aury otoczył dom. Wzniosłem spojrzenie, spoglądając na zegar wiszący na ścianie. Jego wskazówki zbiegły się ze sobą i zatrzymały na jeden wiekuisty moment, wskazując godzinę dwunastą w nocy. Godzina duchów. – Pomyślałem.

W odruchowy, wręcz naturalny, sposób wstałem z fotela i wyciągnąłem z szafki latarkę, by udać się na pierwszy tej nocy obchód. Na zewnątrz huczał wiatr, a ja słuchałem jego podszeptów. Wszedłem po skrzypiących schodach na piętro. Na ścianach majaczyły w mroku zakute w drewniane ramy sudeckie landszafty. Były na tyle różne, by przedstawić zlepek rozmaitych subkultur ich autorów.

Pośrodku holu, jak martwy wieloryb, stał fortepian. Gdyby nagle wydobył się z niego dźwięk, zszedłbym w mgnieniu oka na zawał serca. Tak się na szczęście nie stało.

— Nikt, kto tu wchodzi, nie wyjdzie niezmieniony. – Pomyślałem. A może to tylko rozgorączkowana wyobraźnia daje się we znaki? Taka jest nocna strona natury.

To jak przemierzać bezdroża wieków, których tajemnic nikt jeszcze nie poznał. Nie przekroczył nawet ich progów. Nie dokończyłem myśli, kiedy w pomieszczeniu pojawiła się biała poświata, gwałtownie zwiększając swoją jasność. Przeszukiwałem podświadomość

w znalezieniu jakichś tropów. W końcu dopadły mnie paranoiczne urojenia. Gapiłem się tępo, próbując zrozumieć, co się dzieje. To było jak dziwaczny labirynt ślepych zaułków. Po chwili dotarło do mnie, że to światła nadjeżdżającego drogą samochodu, które wpadły nieproszone przez okno i przesuwają się po ścianie, rozświetlając w ponurej aurze portrety, patrzące na mnie wyblakłymi i martwymi oczami. Miałem wrażenie, że wszyscy obserwują mnie w milczeniu. Jak widzowie w kinie czekają, co za chwilę się wydarzy.

Deszcz stukał niecierpliwie w parapety. Rozedrgane gałęzie starej lipy rosnącej przed domem pukały do okien. Drewniane deski podłogi jęczały nieprzytomnie pod moimi nogami zmęczone już od ciągłego zadeptywania do nieprzytomności.

Zszedłem na dół zaparzyć kawy. Czajnik bulgotał, wypluwając kłęby pary w ciasnym i zalatującym stęchlizną pomieszczeniu bez okien. Postawiłem kubek na stoliku i nasłuchiwałem odgłosów dochodzących z zewnątrz. Wiatr dał, kołysząc starym budynkiem, jak korabem na morzu. Niemi pasażerowie, namalowani ręką artysty, kołysali się z lewej na prawą i chyba było im to obojętne. Zegar nieubłaganie odliczał mijające minuty. Powoli, bardzo powoli. Aromat kawy snuł się w przestrzeni leniwie i przyjemnie.

Wyszedłem sprawdzić jeszcze pomieszczenia na dole. Zauważyłem, że jeden z obrazów przedstawiający Wielki Staw w Karkonoszach wisiał krzywo. Kątem oka zauważyłem, że dwa kolejne też wiszą krzywo. Zwykle nie byłem zasadniczy, ale tym razem zastanawiałem się, czy ich nie poprawić. Nie byłem pewien, czy nie są podłączone do alarmu. Dotknąłem lekko zakurzonej ramy i wyprostowałem ten pierwszy. Nic się nie zadziało. Pod palcami czułem tylko tłusty kurz oblepiający ramę. Z pewnością musiałem zostawić na nim jakieś ślady. Kiedy obrazy wisiały już jak należy, cofnąłem się o krok i przyjrzałem im kolejno. Coś mi podpowiadało, że kiedy się odwrócę i spojrzę na nie jeszcze raz, znowu będą przekrzywione, ale obrazy wisiały idealnie prosto.

Wróciłem do służbowego pomieszczenia, nie mając odwagi odwrócić się jeszcze raz. Nagle w budynku zgasło światło. Wyrząłem przez okno, światła nie było w całej okolicy. Ogarnął mnie jakiś wewnętrzny niepokój. Czułem, jak poca mi się dłonie. Starąłem się uspokoić, sprawdziłem, czy drzwi wejściowe są na pewno zamknięte. Były. Nagle usłyszałem dochodzące z góry zawodzące skrzywienie. Podłoga.? Drzwi? Szafa? Okiennica na zewnątrz? Zamarłem, stojąc z kubkiem gorącej jeszcze kawy. A może się tylko przesłyszałem. Może to podświadomość dała mi znać po tym, czego starałem się nie usłyszeć od stróża, ale mimo to owinęło się sprytnie wokół ucha, natrętnie szepcząc te straszne historie.

– Przestań! – krzyknąłem ni do siebie, ni do tego, co było źródłem zawodzących pojękiwań i skrzypnięć. Ustało.

Zresztą, to nie to, żeby skrzypienie było takie znowu nadnaturalne czy paranormalne. Tu wszystko skrzypiało, a wtórował temu wiatr. Domy, które skrzypiały, będą chciały ciągle skrzypieć. A przecież tu było tak z pewnością od dawna. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. To tak jak stary człowiek, któremu skrzypią kości. Stare domy też są zmęczone starością, zmierzłe i zgniłe albo wysuszone na wiór.

W szafce znalazłem świece. Leżały jeszcze zapieczętowane. Wyciągnąłem kilka sztuk i zapaliłem. Słaby płomień rozświetlił pomieszczenie nieco mdłym światłem. Usiadłem w fotelu, aby uspokoić myśli. Medytacja z płomieniem świecy wprowadzała mnie w stan relaksacji. Nawet tłukący o parapet deszcz wydawał się być przyjemny. Poczulem znużenie. Zapadałem się powoli w fotel i czułem, jak utrzymanie powiek sprawia mi coraz większe trudności. W końcu poddałem się, zamknąłem oczy i zacząłem odpływać.

Na nogi poderwało mnie radio, które się nagle włączyło. Z głośnika ryknął Larry Williams z utworem *Bony Maronie*. Zamarłem. Serce waliło mi jak kowalski młot. Otaksowałem szybko, czy radio jest na baterie. Wciąż nie było prądu i nie chciałem nawet myśleć, że w odbiorniku nie ma na nie miejsca. Było.

– To z pewnością jego robota. Sukinsyn! – powiedziałem na głos. Po prostu chciał mnie nieźle przestraszyć i ustawił budzik z radiem. Wiedział, że zasnę. Nie zdążyłem wyciszyć chrypiącego głośnika, kiedy radio nagle zamarło. Otworzyłem z tyłu klapkę. W odbiorniku miejsce na baterie było puste!

– USB! – Olśniło mnie. – Oczywiście! Na pewno można było jeszcze je jakoś naładować przez USB, a baterie były tylko dodatkową alternatywą. A może się nie znam?

– Pieprzyć to. – Wyszczałem i odstawiłem je na szafkę. Moja czujność wzrosła, a senność uciekła, jak mysz pod miotłę. Zastanawiałem się, co jeśli ten dom żyje w jakiejś alternatywnej dla siebie przestrzeni? Ludzie bardzo wolno zdają sobie sprawę, gdy już zetkną się z nieznanym. Uważają, że takie rzeczy nigdy nie powinny stać się rzeczywistością.

Atmosfera gęstniała. Przytłaczała mnie i paraliżowała. Śliskimi i tłustymi mackami owijała się powoli wokół mojej szyi. Miałem wrażenie, jakby dom ożył. Jakby mnie połknął i powoli trawił, żeby wypluć nad ranem, o ile wcześniej jego jad nie rozpuścił mnie w ciemności.

Huknęło.

Na piętrze otworzyło się okno. Coś przebiegło. Włamanie? Kuna? Niemożliwe, to przecież małe zwierzę. Nie zrobiłoby tyle hałasu. Złodziej. Tylko jak? Na pierwszym piętrze? Bałem się. Cholernie się bałem. Usłyszałem kroki. Ktoś był na górze. Usłyszałem kroki człowieka. Wszedł na balkon. Głuche młasknięcie czegoś ciężkiego. Jakby wyskoczył albo

wypadł przez okno. Na ulicy było ciemno, wyrząłem zza firanki. Widziałem tylko zarys. Kontur postaci. Wstał, kołysząc się nienaturalnie na nogach. Postąpił kilka kroków w kierunku okna, przy którym stałem. Na coś czekał. Daremnie próbowałem się uspokoić. Bałem się, że moje zdenerwowanie mnie zdradzi. Wyciągnąłem telefon. Wypadł mi z ręki i spadł na kamienną posadzkę.

– Kurwa mać! – zakląłem pod nosem. Na szczęście był cały. Przyciemniłem ekran do minimum i usiadłem pod ścianą, wybierając alarmowe sto dwanaście.

– Halo? Dzwonię z Domu Hauptmannów przy ulicy jedenastego listopada. Ktoś włamał się do muzeum.

– Proszę mówić głośniej. – Słyszę w słuchawce.

– Nie mogę! Ktoś. Jest. W. Muzeum. – Wyartykułowałem.

– Adres.

– Jedenastego Listopada. To chyba włamanie. Jestem stróżem i jestem tu sam. Nie mam jak się bronić. Na Boga przyślijcie tu kogoś!

Błyskawica w tym momencie przeszła niebo. Postać wciąż stała nieruchomo przy oknie.

– Proszę czekać, wysyłamy patrol.

– Byle szybko. – Rozłączyłem rozmowę.

Postać przybliżyła się i nachyliła do szyby, zaglądając do środka. Nie widziałem szczegółów. Schowałem się za fotelem, jak dziecko.

Na górze znów coś gruchnęło. Jasna cholera! Jest ich więcej. Potem kroki, balkon i mlaśnięcie o ziemię. Chryste! Co tu się, do cholery, dzieje? Myśli kłębiły mi się, jak burzowe chmury. Aura na zewnątrz idealnie odpowiadała tej, którą miałem teraz w głowie.

Postać odsunęła się od okna. Obok niej podszedł ktoś jeszcze. Mały i przygarbiony... A raczej mała. To była kobieta. Zdradzała ją sukienka. Starsza kobieta. Stali teraz we dwoje. Ledwo widzialni w tej ciemności.

Kolejne tąpnięcie na zewnątrz. I jeszcze jedno, a po nim następne i następne. Jakby ktoś przerzucał worki z ziemniakami. Kroki. Skrzypienie desek. Szepty. Ktoś znów wyskoczył przez okno i wyraźnie jęknął. Rozmawiali ze sobą, ale nie mogłem zrozumieć o czym.

– Gdzie ta pieprzona policja? – wyjęczałem.

Na górze zapadła cisza. Przed budynkiem zrobił się jakiś ruch. Podszedłem na czworaka do drugiego okna przy głównych drzwiach. Błyskawica przeszła niebo i zobaczyłem ich. Zobaczyłem i zamarłem. Myślałem, że to przywidzenie, wczesny objaw

schizofrenii albo guza w głowie powodującego halucynacje. Na pewno uaktywnił się pod wpływem stresu i nowej pracy.

Przed domem stały postacie z obrazów wiszących w galerii na piętrze. Błysnęło. Stały i patrzyły popękkanymi ze starości namalowanymi oczami. Na ich twarzach i ubraniach łuszczyła się farba. Wyglądali upiornie. Jak ustawione w polu strachy na wróble, które zawsze miały w sobie coś przerażającego i niepokojącego.

Nie wiem, skąd we mnie wezbrała nagle odwaga, ale wbiegłem na piętro. Wszystkie okna były otwarte. Podszedłem bliżej, aby przez nie wyrzeć. Wciąż tam stali. Stali i czekali. Miałem się wycofać, ale za plecami coś usłyszałem. Jakiś szelest. Odwróciłem się i chciałem krzyknąć, ale wydałem z siebie jakiś nieokreślony cienki pisk.

Coś na moich oczach wylazło z wiszącego na ścianie obrazu. Dosłownie wypadło z łoskotem przez drewnianą ramę, jakby była oknem do innego świata. Obraz był podpisany „Rogata Dusza” – Wlastimil Hofman. To coś przysunęło się do mnie bliżej. Tak blisko, że poczułem zapach mokrej ziemi. Nie, nie ziemi. Raczej gliny. Trupi i odurzający. To coś wyciągnęło kościstą, nienaturalnie wykrzywioną rękę w moją stronę i wycharczało:

– Chodź z nami.

Oprzytomniałem, ale nie wiem, dlaczego zamiast zbiec na dół, przez tylne drzwi, na zewnątrz, wbiegłem na drugie piętro, a potem wąskimi schodkami prowadzącymi na strych. Zaryglowałem drzwi, szarpnąłem właz i wygramoliłem się na dach. Z daleka słyszałem wyjąca syrenę.

– Nareszcie! – wykrzyczałem. Usiadłem okrakiem na dachu i zacząłem się czołgać w kierunku drugiego balkonu. Byłem przemoczony. Ześlizgnąłem się po rynnie i wskoczyłem na niewielki balkon z drugiej strony budynku. Przełożyłem nogę przez barierkę i chwyciłem za drugą rynnę, aby opuścić się w dół. Coś trzasnęło i rynna oderwała się od ściany. Gruchnąłem razem z nią o ziemię. Zapięło mnie w piersi, aż zabrakło tchu. Czułem pulsujący ból. Porządnie w coś przywaliłem. Sięgnąłem ręką. Lepkie.

– Ja pierdołę. – Usiadłem i popatrzyłem na dłoń. – Krew!

Zerwałem się resztką sił na równe nogi i zacząłem biec jak oszalały w kierunku ulicy. Było tylko uciec przed tym, co działo się w muzeum. Brakowało mi tchu. Z daleka zamajaczyły światła radiowozu. Przystanąłem i oparłem się zakrwawioną dłonią o drzewo. Jeszcze tylko parę kroków i będę uratowany. Będę między ludźmi. Prawdziwymi ludźmi. Zebrałem siły i nareszcie dopadłem asfaltu. Czułem ulgę. Radiowóz pędził z góry. Wybiegłem na ulicę.

– Stój! – wrzasnąłem, ale tamci w samochodzie nie usłyszeli. Nie mogli usłyszeć. Poczułem tylko uderzenie. Ciemność.

Powoli odzyskiwałem świadomość. Rozsypane puzzle w mojej głowie niespiesznie zaczęły układać się w całość. Byłem unieruchomiony. Czułem to, ale na szczęście nie czułem bólu. Musieli mnie porządnie nafaszerować morfiną. Ktoś się kręcił, ktoś coś mówił. Głosy docierały do mnie, jakby z bardzo daleka. Jestem w szpitalu. Dzięki Bogu. Musiałem być nieprzytomny. Tylko dlaczego nie mogę się ruszyć?

– Może jestem sparaliżowany? – spanikowałem. Ostrość widzenia powoli wracała, ale coś było nie tak. Bardzo nie tak. Poznałem to miejsce. To przecież niemożliwe! Próbowałem coś powiedzieć. Nie mogłem. Próbowałem krzyczeć. Daremnie. Byłem w muzeum. Jakieś osoby przechodziły i uważnie mi się przyglądały.

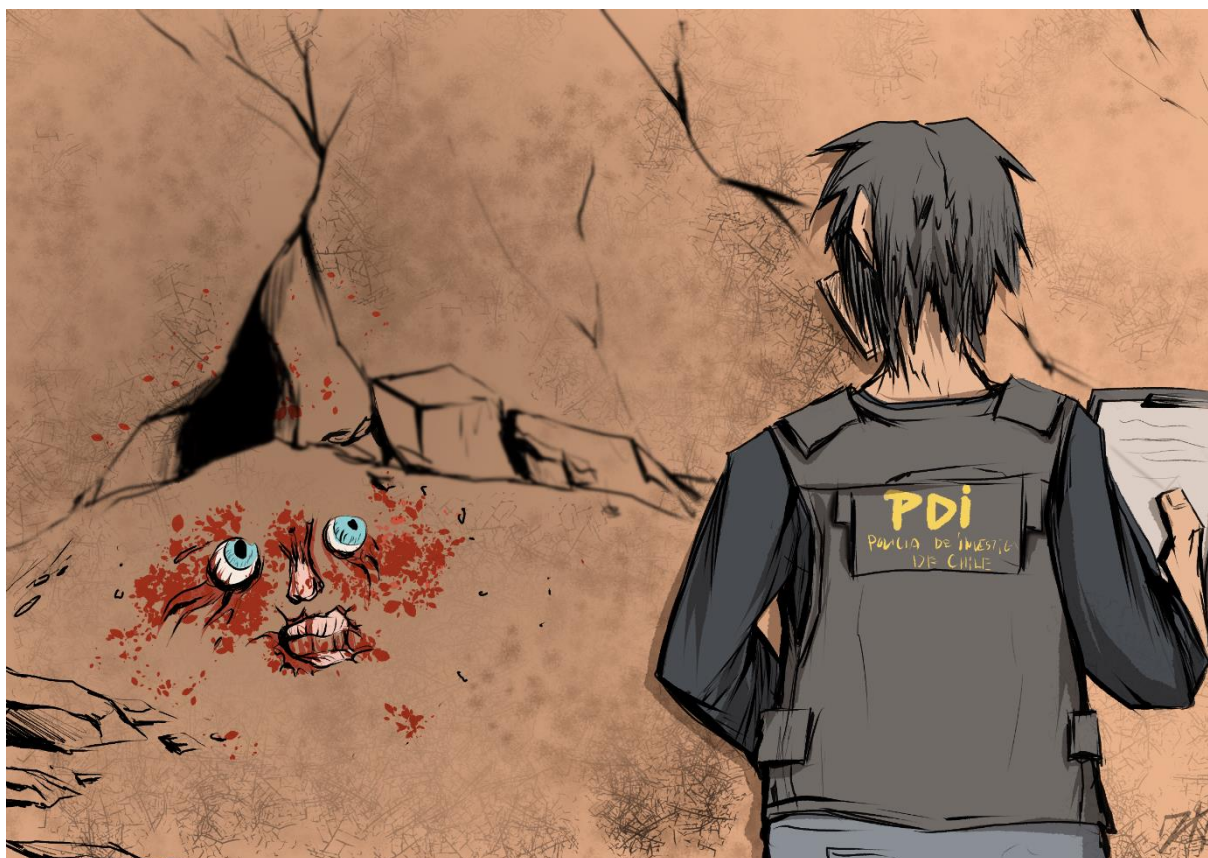
– Wspaniały obraz. – Powiedziała jakaś kobieta.

– Co ty pieprzysz! Jaki obraz do cholery! O czym ty mówisz! – To był krzyk w mojej głowie. Krzyk rozpaczny.

Potem podchodzili następni i następni. Byłem uwięziony. Byłem zamknięty. Nie mogłem nic zrobić. Byłem w obrazie. Uwięziony w obrazie. Byłem obrazem...

Długo zajęło mi, abym wślizgnął się do głowy nowego stróża, który wziął tę robotę na pół etatu. W wolnych chwilach pisał. Dużo pisał. Lubił to. Przeważnie na nockach i przeważnie do szuflady, ale od czasu do czasu, coś tam zawsze wrzucał na Fejsie. Tym razem ja pisałem. Pisałem nim. Nie mógł o tym wiedzieć.

Za kilka dni minie rok od tego, co się wydarzyło tamtej feralnej nocy. Ale już niedługo. Jeszcze kilka dni. Akurat mój stróż będzie na nocnej zmianie...



GRINGO

Paulina Miękoś-Maziarska

Torres del Paine¹, Patagonia, Chile

– Powiedziałeś, że mieszka tam jak długo? – Krwistoczerwone obcasy reporterki wysiadającej z vana zatoneły w błotnistej glinie. Kobieta rozejrzała się po okolicy. Mgła przysłaniała niemalże wszystko. Nozdrza przepełnił zapach mokradeł, lasu.

– Wystarczająco. – Kierowca vana poczęstował ją camelem. Z samochodu dobiegał szum radia, zasięg stracili jakieś trzy mile wcześniej.

¹Torres del Paine – Park Narodowy znajdujący się na południu Chile, został wybrany ósmym cudem świata.

– Wystarczająco, by...? – Dziennikarka nachyliła się nad użyczoną przez towarzysza zapalniczką.

– Po prostu. – Mężczyzna zaciągnął się głęboko dymem, lustrując wejście do jaskini. – Wystarczająco długo. Jesteśmy u podnóża Cerro Paine Grande. Srogie miejsce. Zgodziłem się, bo to ekscytujące. Szalona reporterka i jeszcze bardziej szurnięty dzikus w grocie. Możesz mieć serio dobry materiał.

– Na to liczę. – Wyciągnęła dłoń ozdobioną perfekcyjnym manicure w stylu boho. – Adriana.

– Ładne imię. – Odwzajemnił gest o wiele mocniejszym uściskiem. – José.

– Tatusz lubił Rocky'ego. – Uśmiechnęła się i puściła oczko. Ostatni raz w życiu.

– Co, do kurwy? – Komisarz Sansky próbował zrozumieć rysunek w błotnistej ziemi u podnóża masywu gór Cordillera del Paine. Malunek, a właściwie ekspozycja, przedstawiała okrąg, w środku którego znajdowały się fanty: dwoje wyłupionych oczu, odcięty nos oraz urżnięte wargi. Wszystkie te oblepione zakrzepłą krwią elementy ułożono w sposób „naturalnie” odzwierciedlający układ twarzy. Reszty kobiety nie znaleziono. Sansky splunął.

– Musimy go w końcu aresztować.

– Twierdzi, że to nie on. – Niższy stopniem funkcjonariusz Morales szybko zdał sobie sprawę, w jakim kierunku pójdzie rozmowa, zacisnął więc usta w poziomą kreskę.

– A co ma twierdzić, do chuja pana?! Kto zezwolił tam wejść?! Kto zezwolił z nim rozmawiać?!

– Trudno mi powiedzieć, od kogo wyszedł rozkaz, szefie. Jeżeli nie od szefa, to chyba tylko od naczelnika. Albo komendanta. Czekaliśmy półtorej godziny.

– Bo to pierdolony koniec świata. Chwilę schodzi tu dotrzeć, zwłaszcza omijając karambol. To góry, Morales, i przypominam, że nie pochodzę z waszych stron. „Jeśli nie od szefa” – zacytował. – Nawet nie wiesz, od kogo!

– Ten dzikus i tak nam kazał wyjść, powiedział, że chce dowódce.

– Co za burdel! Wchodzę do niego.

– Zbliża się monsun, a techniczni utknęli w karambolu. Czy mamy to zabezpieczyć? – Morales wskazał na ułożoną karykaturę twarzy.

– Zostawcie jeszcze. I zróbcie pierdyliard zdjęć. Jeżeli to ona, będziemy tu mieli całą armię pismaków z *Qué pasa*. To cud, że jeszcze ich tutaj nie ma.

– Może przez karambol.

Sansky myślał o tym, że tu, w Ameryce Południowej, wszystko działa inaczej niż w Europie. Nawet inaczej niż w Stanach. Zupełnie, jakby cała południowa półkula żyła własnym, południowym życiem. Może to bliskość Amazonii powodowała większą dzikość. Dzikość natury, dzikość zdarzeń, dzikość załatwiania spraw. Wild South. Sansky obracał w głowie tę myśl, zagłębiając się w mroku i wilgoci jaskini. O mieszkającym tu mężczyźnie wiedział, że ma stwierdzoną agorafobię, co oznaczało nic innego, jak lęk przed otwartą przestrzenią. W aktach mieli jego pełne dane oraz informację, że „odmówił życia w społeczeństwie”. Od pewnego czasu winę za każde zaginięcie w tym paśmie górskim przypisywano jemu. Żadnych dowodów, żadnych świadków, nawet poszlak. To po prostu dobrze się kleiło na agresywnych nagłówkach gazet. Stąd też ta dziennikarka. Ale czy mieszkający tutaj człowiek zostawiłby taki ślad? Mordercy dzielili się na tych, którzy starali się zostać niezauważeni, oraz na tych, którzy znakowali zbrodnie i lubili czuć na plecach dech pościgu. Kim był ten człowiek? Sansky przeczuwał, że czymś zupełnie innym. Trzecią kategorią sprawcy lub... niewinnym. W to ostatnie nie wierzył. W niewiele wierzył w życiu.

– Przed wejściem do twojej groty znaleźliśmy części kobiety. – Sklepienie oddało echo artykułowanych słów. Zarys cienia na wschodniej ścianie i powolny oddech musiały wystarczyć za dowód obecności rozmówcy.

Przynajmniej dopóki nie przemówił.

– To nie jest moja grota, gringo.

– Czyżby?

– Nic tutaj nie jest ani moje, ani twoje. Wszystko jest gór. – Dłuższa pauza szybko wypełniała się dźwiękiem kropel skapujących ze stalaktytów. Ochrypły głos kontynuował: – Przetrawasz, jedynie będąc ich częścią. Wtedy ty jesteś częścią góry, a ona częścią ciebie. Ona jest tobą, a ty jesteś nią.

– Coś musisz jeść. Jesz ją, a ona je ciebie?

– Przyszedłeś rozmawiać o moim menu? Nie pasujesz tutaj, jesteś jak ciało obce. Kłujesz, uwierasz. Organizm cię odrzuca. Organizm cię nie chce.

– Przyszedłem rozmawiać o reporterce Adrianie Pérez, która przyjechała zrobić z tobą wywiad, a teraz kawałki jej twarzy układają się w drogowskaz niezachęcający do wizyt w twojej-nietwojej grocie, organizmie, jamie, wieży z kości słoniowej, człowieku gór,

człowieku jaskiń, człowieku-jaszczurze. Tak o tobie napisał *El Periodista*. Całkiem śmiesznie. Według nich chowasz się pod kamieniami.

Przy ścianie rysował się wciąż jedynie cień sylwetki.

– Było tutaj dwoje ludzi.

– Dwoje? – Sansky wyraźnie się zainteresował.

– Dwoje, gringo. Jednego wciąż tu mam. Pokażę ci go. Ma na imię José. Potrafi głośno krzyknąć. Głośniejszy niż białe kobiety.

Czy człowiek-jaszczur to seryjny morderca?!

MARTWA REPORTERKA TYGODNIKA QUÉ PASA!

ZMASAKROWANE SZCZĄTKI ADRIANY PÉREZ W JASKINI CZŁOWIEKA-JASZCZURA!

Ósmy cud świata przedśmionkiem piekiel??? Co naprawdę skrywa Torres del Paine?

BESTIALSKI MORD W GRODZIE!

Nagłówki z największych chilijskich brukowców straszyły z blatu biurka. Sansky siedział naprzeciwko mężczyzny nazwiskiem Ramos, którego cechowała cierpka aparycja, apodyktyczny charakter oraz to, że był jego bezpośrednim przełożonym. Opatrunek miejsca, w którym niegdyś znajdowało się ucho Sansky'ego, nasiąknął krwią na tyle, by zacząć przeciekać. Skapujących kropel nie było jednak widać na fakturze czarnej koszuli.

– Kto pozwolił ci wejść do niego w pojedynkę? – zapytał Ramos.

– Dostałem rozkaz poprowadzenia śledztwa.

– Prowadzenie śledztwa nie oznacza samowolki i robienia głupot! W ogóle nad tym nie panujesz. Gdzie jaszczur?

– Uciekł.

Cisza. Ta z rodzaju nieprzyjemnych.

– Obciął ci ucho i uciekł?

– Nie znajdziecie go.

– Przestań pieprzyć, Sansky!

Chcesz go zobaczyć, gringo? Krzyczy głośniejszy niż białe kobiety.

– Tam są tak wąskie przejścia do kolejnych grot, że żadni podskakujący w watasze krzykliwi antyterrorysty się nie zmieszczą.

– Mógłbyś to zrobić sam, miałeś broń.

– Ale nie miałem maski. Nakazu. Dowodów. Nawet pierdolonego przesłuchania. Chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Maski?

– Chyba tam zatrzał powietrze. Nie wiem, jak. Coś tam pali. Coś tam – zawahał się – jest. Coś robi... z głową.

– Wywołuje halucynacje? Otumanił cię i wtedy obciął ci ucho?

– Obciąłem je... sam. Nie wiem, nie pamiętam dlaczego, jak, ale wyraźnie pamiętam, że obciąłem je sam.

– Sugerujesz, że Adriana Pérez sama wyłupiła sobie oczy? Jesteś zawieszony w służbie za złamanie procedur w-tak-kurewsko-ważnej-sprawie-Sansky – wycedził na jednym wdechu coraz bardziej poirytowany mężczyzna. – Wyjdz. I przestań ćpać!

Nie minęło dziesięć sekund, gdy za funkcjonariuszem zamknęły się drzwi. Ramos wpatrywał się w nie o wiele, wiele dłużej.

– Jebany węgiersko-jankeski przybłęda – szepnął pod nosem.

Próbowała namacać ścianę. Skupić się, wyteńczyć umysł, wyteńczyć słuch. Nie zobaczy tych nagłówek.

Adriana Pérez żyje. BEZ OCZU, NOSA I UST.

Ścisnęła w ręce coś, co zapewne było starą szmatą. Co rusz przykładła do twarzy, do ran. Nie wiedziała, ile spała, ile minęło dni. O dziwo nie czuła głodu, jedynie pragnienie. Odkąd odzyskała świadomość, nieustannie zlizywała wodę ze ścian. Raz nawet poczuła mocz. Pomyślała, że to jego, całkiem świeży mocz. Pomyślała, że zlizwała jego świeży mocz.

ADRIANA PÉREZ ZLIZYWAŁA ZE ŚCIAN JEGO MOCZ!

Czy to by się sprzedało? Tak, redaktor naczelny *Qué pasa* byłby zachwycony.

Nigdy już nie zobaczy niczego. Ta myśl wracała, wprawiając ją w skrajną panikę. Wtedy sama czuła ciepłą strużkę spływającą po wewnętrznej stronie ud. Czuła własne nabrzmiące sutki. Jakim cudem nieodwracalność tych zdarzeń mogła wywołać u niej podniecenie? Mogła? Nie mogła? Nie powinna? Czy to normalny odruch? Wariowała. Dostrzegła kuriozalno-przerazający plus – nie zobaczy swojej twarzy. Musiał jej coś dać, bo

ból był pulsująco-otępiający, ale do zniesienia. Mogła się przemieszczać, choć czuła odslonięte zęby i sterczącą z nosa kość. Nie miała najmniejszej orientacji. Nie wiedziała, gdzie jest, ani w którą stronę pójść. Nagle uderzyła ją przerażająca i zarazem odkrywczą myśl.

Myśl, że tu umrze.

Materiał bluzki drażnił nabrzmiące sutki jak nóż.

Drażnił jak nóż.

Kusił jak nóż.

W kieszeni marynarki, którą wciąż miała na sobie, namacała ostrze. Chciało jej się płakać. Nie miała oczu, by płakać, a smarki z krwią wylatywały z otworu, w którego miejscu powinien być nos. Znowu uderzyła panika. Ciemność. Duszność. Serce wpadło w szaleńczy, łomoczący rytm, a w głowie eksplodował lęk. Adriana Pérez zaczęła biec. W ciemności przepełniającej ją do cna. W ciemności, która wdarła się w całą nią. Zamieszkała ją. Zgwałciła ją. Stała się nią. Zmasakrowana kobieta sięgnęła do kieszeni, w kolejnej sekundzie wpadła jednak w ścianę. Ból eksplodował w okolicy skroni i rozniósł się od czoła na całą twarz. Na resztkę twarzy.

Zrobiło się inaczej.

Obudziła się, wyczuwając, że jest w pozycji leżącej. Nie widziała swojego ciała. Nie widziała niczego. Dobrych kilka minut macała podłóżę, by znaleźć zagubiony nóż. Nie potrafiła płakać. Nie miała czym. Słyszała jedynie własne wycie. A może to było czyjeś wycie? A może straciła też słuch? Chciała zlizać ze ściany jego mocz. Ta obmierzła myśl wracała jak bumerang. Raz po raz. Chciała zawołać i poprosić, żeby tu przyszedł. Nóż naciał skórę od spodu i kierując się pod kątem ku górze, uwolnił strumień krwi. Odcięty sutek spadł gdzieś w ciemność zgrzybiałego podłóża, ale jego właścicielka nie mogła tego zobaczyć. Nie mogła też pojąć, co właśnie zrobiła. Materiał spodni przyjął kolejną porcję wilgoci. Jak wiele można sikać, nie pijąc nic? Namacała guzik, rozsunęła zamek, skierowała w jego stronę nóż.

Z ADRIANY PÉREZ NIE ZOSTAŁO NIC.

– Ciii. Śpij. – Kołysał ją w rytm wiatru. W rytm gór. – One nie widzą. Tylko czują. Tylko są. Chłoną. Murszą się. Piętrzą. Żyją. Ciii. Jesteś częścią nich.

Sansky studiował akta czterech zaginionych w ostatnich latach kobiet. Gratulował sobie, że skserował je w porę, nim odsunęli go od tej sprawy. Dwie tutejsze, jedna przyjechała zobaczyć ósmy cud świata – ponoć w biurze podróży chwaliła się odwiedzeniem wszystkich wcześniejszych siedmiu. Czwartą była Adriana. No i ten facet, José. Ten facet José i on. Sansky dotknął opatrunku.

Jak to możliwe?

Może ta grotta jest trująca, może nie ma żadnego człowieka-jaszczura, człowieka gór? Może to tutejsze yeti? Przecież go widział. Rozmawiał z nim. Cień... Monsun zasnuł niebo gęstwiną deszczowych chmur. Mężczyzna wstał, by zaświecić światło, nim jednak pstryknął włącznik, zatrzymał się i zbliżył do ściany.

Polizał ją.

Napij się, gringo.



MIKE CHCE GRAĆ

Rafał Łoboda

Gęsta mgła sunęła przez ganek, napierała na szyby okien, obejmowała bielone ściany.

John, John, John... bawi cię to?

Wszedłem po skrzypiących schodkach, skinąłem im głową jak starym znajomym
i trzykrotnie zapukałem w białe drzwi.

Po co, spytacie, skoro John nigdy nie zamyka? Och, ależ to wyjątkowe odwiedziny! Świeżutki pomysł, nowa koncepcja, zmiana strategii w środku meczu. Dziś zagram tę scenę na nowo od początku do końca. Calusieńki teatrzyk miłości.

Zdażyłem wyjąć z kieszeni garnituru posrebrzaną zapalniczkę i schylić się z papierosem w stronę płomienia – potem skrzypnęły zawiasy.

– Mike – wypowiedział moje imię, jakby właśnie zdiagnozował nieuleczalną chorobę.

Cały on.

– Cześć, John – odparłem, wypuszczając dym w jego kierunku.

Miał na sobie ten sam, co zawsze, idiotyczny podkoszulek z napisem „Holiday ‘79” i wytarte spodnie od dresu. Nigdy nie przejmował się wyglądem. W przeciwieństwie do mnie był nieogolony, a długie włosy zaczesał do tyłu i związał w kucyk. W mojej branży osiągnąłby równie wielki sukces co bezżębny śmieciarz.

– Kto tam, kochanie? – Z wnętrza dobiegł kobiecy głos.

– Otóż to, John. Kto tam? Mogę wejść?

– Od kiedy pytasz? – odparł.

– Właśnie zacząłem.

John uniósł brwi, skinął głową i zabrał rękę z futryny. To w nim lubię: spokój i elastyczność. Wierzcie mi – nie znajdziecie bardziej opanowanego gościa.

Począł, aż wejść, po czym zatrzasnął drzwi, ucinając kłęby mgły, które wpełzały już przez próg; rozwiały się w środku.

Salon wyglądał jak zawsze; żywcem wyjęty z dawnej amerykańskiej broszurki. Przeszedłem po ciemnych panelach, mijając cuchnący chemiczną czystością aneks kuchenny, przez rozłożoną w kącie matę pełną kolorowych zabawek, aż do stołu nakrytego białym obrusem. Pokiwałem głową z uznaniem. Sterylne wnętrze czekało na mnie jak świeże płótno na pierwsze pociągnięcie pędzla. Nawiasem mówiąc, specjalizowałem się w artystycznych improwizacjach – porównałbym siebie do Pollocka, albo... Spokojnie. Dziś obiecałem sobie nie malować. Nic a nic. Dziś tylko... rozmawiam.

Ze schodów prowadzących na piętro zeszła wysoka blondynka owinięta błękitnym szlafrokiem; niosła rocznego dzieciaka w samej pieluszce. Sara i Andy, Andy i Sara, krew, flaki, mięso, tralala la... Chłopczyk patrzył na mnie z marsową miną. Dzieci widzą więcej, a może pamiętają? Co za różnica?

– Dzień dobry – powiedziała i z niemym pytaniem kiwnęła głową w stronę Johna.

– Dzień dobry, Saro – odrzekłem z uśmiechem.

– Pan mnie zna?

– To mój stary znajomy, kochanie – wyjaśnił John. – Mike Pott.

Sara położyła syna na macie. Maluch od razu chwycił czarno-biały radiowóz i zaczął gryźć koło.

– Miło mi poznać, panie Pott. – Ruszyła drobnymi krokami w stronę aneksu. – Zostanie pan na kolację?

– Z przyjemnością. – Odsunąłem krzesło, usiadłem i westchnąłem z ulgą, jednocześnie kierując w stronę ponurego Johna szeroki uśmiech. – I proszę, Saro, po prostu Mike.

John usiadł naprzeciwko i pchnął w moją stronę kryształową popielniczkę. Patrzył mi w oczy, pocierając dłonią zarośnięty podbródek.

– Co ty kombinujesz? – szepnął.

– Ja? – Zrobiłem urażoną minę. Strzepnąłem popiół. – Odwiedzam znajomego. Nie cieszysz się?

– Skarbie, zostały dwa ostatnie! – krzyknęła Sara pochylona przy otwartej lodówce. Wyprostowała się, trzymając oszronione butelki, otworzyła je i postawiła między mną a Johnem. – Będziesz musiał jutro skoczyć po zakupy. Brakuje też papryki. – Wróciła do aneksu, podśpiewując pod nosem nieznaną mi piosenkę.

Włożyłem niedopałek do popielniczki. Jednocześnie z Johnem chwyciliśmy po butelce, po czym w milczeniu pociągnęliśmy długie łyki.

– I? – spytałem – jak ci się tu żyje?

Wargi Johna odkleily się od szkła i, słowo daję, drgnęły w najlżejszym uśmiechu, jaki widziałem. Niech mnie szlag! Wydobyć coś z tego faceta, to jak rzeźbić w marmurze za pomocą łyżki, ale nowe podejście już przynosiło efekty.

– Nie narzekam.

– Daj spokój. – Postanowiłem od razu ustalić bazę do negocjacji, skorzystać z przełomu i zaatakować. Oparłem łokieć o blat i palcem wskazałem na Johna. – To nie jesteś ty. Bierz Sarę, dzieciaka i wracaj.

– Nie – odparł z tym swoim irytującym spokojem. – Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, Mike? Ile razy będziesz próbował?

– Do skutku – zapewniłem.

– Lubisz pizzę, Mike?! – Sara trzymała jasny placek w dłoniach.

– Jasne!

Szczęknięły drzwiczki piekarnika, po czym Sara podeszła do stołu. Natychmiast wstałem i odsunąłem dla niej krzesło.

– Dziękuję – odparła zdziwiona, po czym usiadła. – Rzadko spotyka się dżentelmenów – dodała z nutą nagany w głosie, zerkając na Johna.

– Ach, daj spokój. – Wyszczерzyłem zęby. – John jest po prostu zdziwiony moją wizytą. Kiedyś robiliśmy razem u jego staruszka, ale potem założyłem własny biznes i nasze drogi się rozeszły.

– Myślałam, że znam wszystkich przyjaciół Johna.

– Pewnie wypadłem mu z głowy.

– Szkoda, że nie byłeś na naszym ślubie.

– Przyznam, Saro, że podróże służbowe często gnają mnie w najdalsze rejony świata i nie wiem, czy dałbym radę się zjawić. Interesy idą świetnie, firma się rozwija, ale wszystkiego trzeba osobiście dopilnować. Choć dla Johna, myślę, zrobiłbym wyjątek. Zdradz mi: czym skusił taką piękność? Chyba nie poczuciem humoru?

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Biedny John siedział z ponurą miną – żadna niespodzianka – i sączył piwo, stukając palcem o blat. Sara czym prędzej zamknęła jego dłoń w swojej.

– John ma dobre serce – powiedziała, jakby to było ważne. – Kiedy się ostatnio widzieliście?

– Wydaje się, że wczoraj. Jak myślisz, John?

Wzruszył ramionami i dopił piwo.

Cały on.

– Mogę? – Pokazałem Sarze zmiętą paczkę papierosów. Nie czekając na odpowiedź, wydobylem jednego, włożyłem do ust i zapaliłem.

Poszukała spojrzeniem pomocy u Johna, ale ten dalej milczał.

– Nie dmuchaj w stronę Andy’ego, dobrze? – poprosiła niepewnie. – Więc jesteś przejazdem, Mike?

– Mniej więcej. Mam w pobliżu sprawę do załatwienia.

– Ciągle praca?

– Praca. Czasem mam wrażenie, że nigdy się nie kończy.

– Mike robi w marketingu – wtrącił John. – I jest w tym cholernie dobry.

Machnąłem dłonią, rozwiewając sznury dymu.

– Kwestia doświadczenia. Wiesz, co jest najważniejsze w sprzedaży, Saro?

– Cena?

– Najprostsza odpowiedź, prawda? Muszę cię rozczarować. Chodzi o obietnicę. Gdy stary człowiek kupuje samochód, to wybiera ten, w którym znów poczuje się młodzieniasz-

kiem; gdy szuka naszyjnika dla żony, to ma nadzieję, że za prezent dostanie coś z nawiązką: uśmiech, pocałunek, albo... – Mrugnąłem do niej okiem, co sprawiło, że zachichotała. – Problem polega na odgadnięciu, czego klient tak naprawdę szuka. A żeby ci to powiedział, musisz go zmotywować. W tym cała sztuka. Ludzie potrzebują zachęty, aby opowiedzieć o sobie, zagrać w otwarte karty. Potrzebują przyjacielskiego, dobrego szeptu albo... jak to się nazywa? – Pokręciłem palcem – Marchewki. Właśnie, marchewki. A ja? Zawsze mam najlepsze, najświeższe marcheweczki! Ale to wciąż trudne... – Popatrzyłem na Johna. – Najczęściej klient się wzbrania, myśli: *nie potrzebuję tego*, albo *dobrze jest, jak jest*. I wtedy trzeba go przekonać, wydobyć czystą, nieskażoną uprzedzeniami żądzę, zawalczyć z uprzedzeniami, uporem, a czasem, przyznam, z moralnością. Potem to już tylko trywialna sprawa z dogadaniem ceny.

– To brzmi jak gra, Mike. – Sara patrzyła na mnie błyszczącymi oczami. Miała czarujące dołeczki w policzkach.

Uważaj, John, bo jeszcze przyprawię ci rogi!

Pochyliłem się nad stołem i szepnąłem:

– Najpiękniejsza gra, Saro.

– I te marchewki, ten sposób... działają na każdego?

– Z reguły tak! Czasem, bardzo rzadko, ale jednak się zdarza, że muszę użyć porządnego... kija!

Znów roześmialiśmy się oboje.

– Prościej mówiąc, Mike – wtrącił John. – Wciskasz ludziom bzdury.

– A jednak zazdrościsz mi tego daru, prawda, John?

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć irytujących zabawek Andy'ego. Z Johnem patrzyliśmy na siebie jak dwa niedźwiedzie przed pojedynkiem. Kątem oka widziałem, jak zdezorientowana Sara spogląda raz na mnie, raz na niego.

– Coś mi umknęło? – spytała.

Nie zaszczyliłmi jej nawet odrobiną uwagi.

– Racja, Mike – burknął John. – Muszę przyznać, że prawdziwy z ciebie profesjonalista. Zawsze wciśniesz najgorszy towar za najwyższą cenę. Czy każdemu? – Wzruszył ramionami. – Bywa, że gość odrzuca marchew i ma za twarde plecy, aby przejmować się twoim kijem. Co wtedy robisz? Dajesz za wygraną, czy chodzisz za nim jak zagubiony kundel, pograżając się coraz bardziej w swojej pieprzonej nieudolności?

Sara odchyliła się i wytrzeszczyła oczy.

– John...

Zachichotałem.

– Uwielbiam twojego męża, Saro. – Trzasnąłem otwartą dłońią w blat, aż podskoczyła. Oczywiście, John ani drgnął. – Kurwa, kocham go! – wrzasnąłem, aż zadrżały szyby. – Każdy ma słaby...

Smarkacz wszedł mi w słowo rozdzierającym płaczem. Cholerny mały szkodnik!

Sara fuknęła:

– Panie Pott!

Wstała, podbiegła do Andy'ego i wzięła go na ręce. Zaczęła chodzić tam i z powrotem, śpiewając piosenkę o wesołym piesku, ale dzieciak uparcie wrzeszczał. Pisk z lewej, trzy kroki, pisk z prawej, i tak w kółko, aż mimowolnie zacisnąłem pięści.

– Naprawdę, John? – Podniosłem głos. – To twój raj? – Pisk. Tup, tup, tup. Pisk. – Słuchanie rozwrzeszczanego...

John dotknął ucha, pokręcił głową i dalej spokojnie siedział, wpatrzony we mnie bez śladu emocji.

Są pewne rzeczy, których nie lubię, jak na przykład zimno. Tutaj nie krępowałbym się nosić swetra. Podobnie nie znoszę ludzi bez ambicji, takich, którzy niczego nie chcą, tylko trwają w egoistycznym samozadowoleniu. Oczywiście, nie mówię o Johnie. John to John, specyficzna jednostka, koleś jak żaden inny... Ale najbardziej, tak bez odrobiny wahania, powiedziałbym, że nie trawię dzieci. Ich maślanych oczu, trywialnych potrzeb i wiary we własną nieśmiertelność. No, i hałasu... o, tak! Tego rozhisteryzowanego wołania o pomoc w wykonaniu kapeli *Wkurwiał wszystkich dookoła!* Dziś zagrają dla państwa: wielkie łzy, gluty z nosa, czerwone policzki i, powitajmy ją brawami, rozdarta morda!

Dobre sto dwadzieścia decybeli wdzierало się do moich uszu, świdrowało je pneumatycznym młotem i wbijało w mózg igły. Zgasilem papierosa, wstałem i odwróciłem się powoli.

Bachor aż się trząsł. Małe różowe plecki zaczerwieniły się jak od porażenia słonecznego. Sara trzymała go przodem do siebie i teraz syczała mu w twarz *ćśśś* czy jakieś inne nie działające gównno. Spojrzała na mnie przelotnie i z wyrzutem. Odpowiedziałem uśmiechem, a potem błyskawicznie położyłem dłonie na policzkach dzieciaka i przekręciłem jego główkę do siebie.

Chrupnęło i Andy już nie płakał.

Powieki zatrzepotały mu parę razy, z ust wypłynęła struga śliny. Zadowolony z ciszy, poklepałem go po policzku i wziąłem popielniczkę ze stołu. Z doświadczenia wiedziałem, że

mam jakieś trzy sekundy, zanim mózg Sary przetworzy to, co się właśnie wydarzyło, a ona sama nabierze pełen haust powietrza.

Spóźniłem się o sekundę czy dwie.

Wlepiając szeroko otwarte oczy w martwego synka, Sara wrzasnęła, aż zadzwoniły mi zęby. Widać, po kim Andy odziedziczył silne płuca. Zachwiała się, zbladła. Wtedy rąbnąłem ją popielniczką powyżej skroni. Oba ciała upadły bezwładnie, kropelki krwi obryzgały mi garnitur. Sara jeszcze próbowała się podnieść. Szkliste oczy błędziły po suficie.

– Jo... hn... – wycharczała.

O, nie, słoneczko! John odpowiada w naprawdę wyjątkowych sytuacjach, a to? To nic – zwykła śmierć, jakich widział więcej niż ktokolwiek. Wiesz, ile razy pomógł?

Klęknąłem i uderzyłem Sarę w czoło. Przestała się ruszać, ale wiem, kiedy w człowieku jeszcze zostało coś z życia, więc poprawiłem raz, drugi i trzeci, dopóki jej twarz nie zamieniła się w doliny czerwonych rzek i pagórki wystających kości. To tyle z ujmujących dołeczków. Obejrzałem wzór lśniących kropel na garniturze – Pollock, słowo daję!

Rękawem starłem z policzka kawałek Sary i wróciłem na krzesło. John siedział niewzruszony i sączył piwo z nowej butelki.

Cały John.

Uśmiechając się, przeczesalem włosy i odchrząknąłem. Miałem dziś nie malować, a wyszło jak zwykle...

– Wybacz, John. Trochę mnie poniosło. – Strzepnąłem z popielniczki resztki ciała i krwi, następnie odstawiłem ją na blat i splotłem dłonie. – Przynajmniej teraz możemy spokojnie porozmawiać.

John skinął głową w kierunku mojej butelki. Znow była pełna. Czasem jest prawdziwym sztukmistrzem.

– Kiedy przyszedłeś – zaczął – tak spokojnie, to uznałem, że w końcu dałeś sobie spokój. Że coś ci się poprzestawiało w twoim zakutym łbie. Ale ty zawsze będziesz sobą. Nie zmienisz się nawet odrobinę. Choćbyś próbował, dobierał sztuczki, udawał kogoś innego... rezultat wychodzi taki sam.

Skrzywiłem się i zapaliłem papierosa. Ostatniego. Przez parę minut zastanawiałem się, co powiedzieć. Żaden z nas się nie spieszył – nie było do czego.

– Po drodze wpadłem do ojca – mruknąłem. – Pomyślałem sobie: *On na pewno namówi Johna.*

– I co słyhać u staruszka?

– Nie wiem. Pukałem i pukałem, ale nie było go w domu, a może spał? Albo pracował nad czymś nowym? W końcu otworzył Gabriel. Pamiętasz go jeszcze?

– Pamiętam.

– No, więc Gabriel przekazał mi wiadomość od starego.

– Hm?

– Nie jestem mile widziany i lepiej, żebyś ruszał w drogę. Tylko zawarł to wszystko w jednym słowie.

– Cały ojczulek. – John pokiwał głową.

– O, o! Właśnie! – przytaknąłem. – Ty nigdy mnie nie wygoniłeś, John. Nawet kiedy mordowałem ci żonę i dzieciaka, raz za razem, raz za razem. Dlaczego, John? No, właściwie nigdy nie pozwoliłeś mi jej... – Mrugnąłem do niego.

– To moja żona, Mike. Gdzieś muszą być granice – odrzekł, po czym włożył papierosa do ust. Skąd go wziął? Z Johnem nigdy nie wiadomo, co wyciągnie z rękawa.

– Granice, ha! – Nachyliłem się i poczęstowałem go ogniem. – Nie wiedziałem, że palisz.

– Właśnie zacząłem.

– Powiedz, John. Czemu nigdy nie kazałeś mi się wynosić?

– Może liczyłem na twój rozsądek? Taka nadzieja głupca. Czasem się na nią sam nabieram.

Wetknąłem niedopałek w czerwoną płamę wewnątrz popielniczki. Zasycał.

– Ty chcesz mnie uczyć rozsądku? Ty? Siedzimy w pieprzonym domku jako Mike i John, bo tak zdecydowałeś i ok, ok. – Uniosłem dłonie. – Jak chcesz, proszę bardzo, mogę zabawić się w aktora opery mydlanej. Tylko nie mów, że to rozsądne. Ciekawe? Tak, daje pewną perspektywę. Zabawne? Owszem, ale...

– Śmiesz cię to? – wtrącił i wskazał głową Sarę oraz dziecko.

Wywróciłem oczami.

– John... proszę! Nie rób scen. Przyszedłem do starego znajomego, zapalić, napić się piwa, obgadać co nieco. W ciszy! Zresztą. – Uniosłem brwi i wskazałem palcem w dół. – Mogliśmy się spotkać w moim domu. Tylko ty nigdy nie wychodzisz! Jesteś guru introwertyków, bożyszczce agorafobów, gość, który wypiął się na świat. Zostawiłeś mnie samego, John! Tak się nie robi przyjacielowi...

– Nie jesteś moim kumplem, Mike.

Zrobiłem zbolalą minę.

– Zraniony w samo serce! Zapomniałeś, kto ci zapewniał rozrywkę w chłodne wieczory? Bawiłem się z tobą wręcz wybornie, przynajmniej dopóki nie odszedłeś od planszy.

– A dlaczego by nie? – Prychnął i łyknął piwa. – Obaj znamy wynik, prawda?

– Tak... – mruknąłem. – Tylko że ja wciąż chcę grać, a ty siedzieć w domku z Sarą i rozwrzeszczanym smarkaczem. Samemu to już nie to samo... – Rozłożyłem ręce. – Naprawdę sprawia ci to przyjemność?

– Powinieneś spróbować.

Ha! Mówił zupełnie poważnie. Czasem John za dużo... Skrzywiłem nos.

– Czujesz?

John zmrużył oczy.

– Pizza gotowa.

Na twarzy nie czułem już zasychającej krwi, a brzegi popielniczki lśniły w blasku żarówek. John wyczyścił płótno, zmazując mój obraz.

Sara zesłała z Andym na rękach. Malec patrzył na mnie z marsową miną.

– Wstawiłem pizzę, kiedy spałaś, kochanie – powiedział John.

– Dzięki. – Ziewnęła i położyła dzieciaka na macie, a następnie podreptała do piekarnika. – Jak tam, Mike? John cię nie zanudził?

– Ależ skąd! Brakowało mi jego humoru.

Sara parsknęła i wyjęła pizzę, ja tymczasem sięgnąłem po piwo.

John... to twoja definicja szczęścia?

Przełykając gorzkie piwo, spróbowałem poczuć pieprzony raj Johna, zrozumieć jego mały świat.

Zamknąłem oczy.

Chłopiec bawił się z tyłu, popiskując cicho i klaszcząc, co pewien czas wybuchał śmiechem przy trasku rzuconych zabawek albo cienkich drażniących uszy elektronicznych gwizdach. Sara kroїła pizzę, nóż ślizgał się po desce, unosił i znów ślizgał, ciął kawałek za kawałkiem. Żarówka w lampce nad stołem cichutko syczała. Zapach piwa krążył dookoła, cierpki, rozrzedzony papierosowym dymem i aromatami pikantnego pepperoni oraz piezoznego sera, tworząc osobliwą mieszankę.

Pozwoliłem, aby to wszystko wlało się we mnie niczym w pusty kieliszek, wypełniło całego i odurzyło. Wzdrygnąłem się od przebłysku zapomnianego uczucia, które zamrożone głęboko w moim wnętrzu odtajało od ciepła domu Johna. Zniknęło w mgnieniu oka.

Wiecie co? Wcale mi się to nie spodobało.

– Tak mogło być, Mike – szepnął John, jakby wiedział.

Otrząsnąłem się i skrzywiłem na myśl, że zobaczył chwilę mojej słabości.

– Gówno prawda – burknąłem. Spuściłem wzrok. – To ja, John. Ja. Cały kosmos nieczystości wpakowany w jedną skorupę. Może gdzieś tam... gdzieś głęboko został strzęp dawnego mnie, ale utonął i już nigdy nie wypłynie.

Wiedziałem, że John na mnie patrzy i poczułem drżenie górnej wargi. Nienawidzę tych powłok, tych cielistych worków krwi i mięsa, które zdradzają każde uczucie, myśl i pragnienie. Miałem dość tej szopki, tego spektaklu z trzeciorzędnymi aktorami.

– Nie mąc mi w głowie, John. Co chcesz osiągnąć? Myślisz, że wyznam grzechy, ty wspaniałomyślnie wybaczysz i pobiegniemy w stronę zachodzącego słońca, trzymając się za ręce? Wal się, John! Wszystko spieprzyłeś!

– Nie, Mike. Sam jesteś sobie winien. Zrobiłeś to, co potrafisz najlepiej: wprowadziłeś chaos.

– Bo mi na to pozwoliłeś! Zostawiłeś ich, oddałeś bez walki. Ciągnęliśmy świat każdy w swoją stronę, ale ty nagle puściłeś i zostałem z nim w rękach! Nie tak staruszek sobie wymyślił! Zgłupiałeś, John? Myślałeś, że co się wtedy stanie z całym tym pieprzonym bajzlem? Że skieruję ludzi na drogę prawa i miłości? Zrobiłem to, co potrafię najlepiej.

– Bredzisz, Mike – odparł. Włożył między wargi papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Ja? Chodziłem wśród nich, poznałem ich żądze i pragnienia, te, o których mówili i te prawdziwe, o których myśleli. Ta różnorodność! – Cmoknąłem. – Spełniałem je i przyznam, że bawiłem się wyśmienicie. Oni też... do czasu. A ile tobie zawdzięczają, John? Hm? – Nachyliłem się do niego. – Wielkie nic!

Sara podeszła z talerzami parującej pizzy.

– Koniec rozmowy, czas na...

Przez sekundę zastanowiło mnie, co słyszy Sara? Wyniki sportowe? Przechwałki Johna o nowej impali albo moje narzekania na klienta z Filadelfii? To królestwo Johna i on tu rządzi. Mógł sprawić, żeby wcześniej Andy nie płakał tak głośno, albo żeby w ogóle nie usłyszał mojego krzyku. Mógł zrobić wszystko, a nie zrobił nic. Podejrzywałem, że chce mnie sprawdzić, wystawić na próbę. Czy miałem mu to za złe? Oczywiście, że nie! Każdy ma swoje zboczenia zawodowe.

Zatrzymał czas i już wiem, że zrobiłem wyłom w jego murach. Chce posłuchać, a potem udowodnić, że to on ma rację, by na koniec wrócić do piwa i pizzy, do swojego rajku.

Nic z tego. Jeszcze nie podałem głównego dania.

Więc Sara zastygła z szerokim uśmiechem, za moimi plecami umilkł śmiech Andy'ego, klęby pary bezskutecznie próbowały odkleić się od pizzy i ulecieć. John zgasił papierosa i splótł dłonie niczym profesor rozpoczynający wykład.

– Mylisz się, Mike. To ty zamieniłeś wszystko w ruinę.

– A wiesz, dlaczego? Bo to ja! – Położyłem rękę na sercu i buchnąłem patetycznym tonem: – Wierny sobie do samego końca. Tak jest! Wecisnąłem światu gaz do dechy, ale nie wiedziałem, że mój towarzysz podróży, John, który trzymał nogę na hamulcu, wysiadł i zrobił sobie wolne. I wyszło, jak wyszło.

Skrzywił się, ale nie zaprzeczył, więc kontynuowałem.

– Wszystkich, którzy chcieli spierdolić sobie wieczność, witałem z otwartymi ramionami, buziaczkami i klepieniem w plecy. Utonąłem w robocie. A ty, John, ile razy wysłuchałeś ich błagań? Ilu przywróciłeś do życia jak Sarę i Andy'ego? Ilu pomogłeś? A wiesz, co mnie najbardziej śmieszy? Szukali cię i szukali, a kiedy wystawiałeś łeb z nory, tak raz na sto lat, to i tak nie potrafili uwierzyć. John coś zrobił? Niemożliwe!

– Kto chciał, ten uwierzył. Kto chciał, podążał za mną. Kto...

– W końcu nikt nie chciał! – przerwałem mu, zanim wpadł w samozachwyty. Teraz była moja kolej. – Przestań udawać, że było inaczej! Schowałeś się i czekałeś, aż sami przyjdą. A Mike, nie! Mike pracował! Tutaj szept, tam obietnica, gdzie indziej przebłyśki geniusz. Tak, panie Nobel, dynamit to cudowny wynalazek, co złego może się stać? Wspaniały pomysł, panie Adolfie, holocaust z pewnością wzmocni ducha narodu. Panie Putin, czas odbudować imperium... może zaczniemy od Ukrainy? Ech, stare dobre czasy. Co wtedy robiłeś, John? Jadłeś pizzę? Pieprzyłeś Sarę? – Nachyliłem się do niego. – W końcu wraz z ojcem byliście niczym! Ubogim mitem, pustym sloganem, bajeczką dla wiejskich głupków! Zostałem sam i, w końcu, to ja, JA byłem ich Bogiem!

Stół, piwo i popielniczka – zniknęły w mgnieniu oka. Musiałem przyznać Johnowi, że jest szybki. Jego pięść wylądowała na mojej twarzy z mokrym chrzęstem łamanego nosa.

Cudownie, John!

Runąłem do tyłu wraz z krzesłem, przeturlałem się po podłodze i podniosłem na czworaka. Cholerne ciała – w ustach czułem smak krwi, nos piekł i szczypał, prawie nic nie widziałem przez zażawione oczy. But trzasnął mnie w brzuch, aż się na moment uniosłem. Zdławiłem nagłą chęć wymiotów i wylądowałem pod ścianą. Rozmazana sylwetka Johna nadchodziła w milczeniu. Machnąłem nogą, próbując go przewrócić, ale odsunął się, podbiegł, i znów zarobiłem kopniaka, tym razem prosto w żebra.

Straciłem dech i usłyszałem trzask kości.

Wielka szkoda, bo zamierzałem się porządnie roześmiać – John, dobry, spokojny John okazał się łatwiejszy do sprowokowania, niż śmiałem przypuszczać!

Zachichotałem, plując krwią, podczas gdy John klęknął i zaczął łomotać pięścią w moją twarz.

– Jeszcze... – zdołałem wydusić między jednym ciosem a drugim.

– Nie...

Czerwień z rozciętych łuków brwiowych zalała oczy.

– Czas...

Wyplułem złamany ząb.

– Nazarejczyku.

Nie było więcej uderzeń. Może i szkoda? Ból mi nie przeszkadza, zadawałem sobie o wiele większy, ale miałem już dość tego słabowitego ciała. Oddech świszcział mi w gardle i ledwo dawałem radę przetykać lub spluwać napływającą krew.

Nieźle, John. I pomyśleć, że brali cię za uosobienie łagodności.

Otworzyłem oczy. Ból zniknął, zagoiły się rany, kości znów były całe. To królestwo Johna, a z niego prawdziwy sztukmistrz.

– Wynos się, Mike – szepnął. Stał odwrócony z zaciśniętymi pięściami.

– Jeszcze nie. – Wstałem, podpierając się ściany. – Chodź. Mam dla ciebie prezent.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na ganek zamrożonego w czasie domku. Natychmiast otoczyła mnie mgła.

– Zobacz. Chociaż zerknij. Potem możesz wrócić do siebie, zjeść tę cholerną pizzę i siedzieć na tyłku resztę wieczności. Rozwiej mgłę.

Od początku miałem nadzieję, że to zrobi. Ironia losu – całe istnienie korzystałem z nadziei głupców, a na koniec sam się jej poddałem.

Mgła zaczęła rzednąć.

Może naprawdę czuł się winny losu świata, może chciał mi udowodnić, że niczym go nie przekonam... albo miał swoje powody, których natury nigdy nie poznam. Dość, że stanął koło mnie na skrzypiącym drewnianym ganku i zobaczył.

Zadbany trawnik przed domem kończył się poszarpaną linią spalonej ziemi i pyłu. A dalej, dookoła i nad nami, jakby rozpostarci na wielkiej niewidzialnej kopule leżeli ludzie. Kazałem ich tu sprowadzić z miejsca, którego tak się bali za życia. Spaleni, porozrywani, bez przerwy krwawiący i umierający, by zaraz znów wrócić do nie-życia i cierpieć po sam kres. Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, dzieci. Miałem wszystkich. Relikty umarłego świata.

Kopuła z cierpiących dusz przykrywała domek Johna.

– Gdy pierwszy raz zabiłem Sarę i Andy’ego, myślałem, że ruszysz za mną i odbudujesz ludzkość, choćby po to, aby się zemścić. W końcu, który facet beczynnie patrzy, gdy mordują mu rodzinę? – westchnąłem. – Nie powstrzymałeś mnie ani nie poszedłeś za mną. Więc zrobiłem to jeszcze raz. I znów, i znów. Wszystko na nic. Powiedz mi, John, czułeś coś, gdy ich zabijałem? W ogóle coś czujesz?

Odwrociłem się do niego i spojrzałem w te nieruchome obojętne oczy.

– Zdetronizowałeś mnie, zburzyłeś ustalony porządek. Dlatego to wygląda, jak wygląda.

– To twoje dzieło, Mike.

Powiodłem ręką dookoła.

– To moja natura, istota mego trwania. Stanowi dla ciebie kontrast. Gdybyś pozwolił sobie usłyszeć tych nieszczęśników, John. Wiesz, co krzyczą? Nie bluźnią na mnie. O nie! Przecież robię to, co do mnie należy. To ty jesteś gwoździem programu i gwiazdą wieczoru ich repertuaru wrzasków. Do ciebie mają pretensje, ciebie obwiniają i błagają jednocześnie. Zostawiłeś stado na pastwę wilka. Więc powiedz, John... kto tu tak naprawdę jest zły?

– Już za późno, Mike – szepnął. – Nic nie zostało. Świat jest martwy, a ojciec ma co innego na głowie.

– Nie potrzebujesz go! Wystarczy, że zechcesz, a razem wszystko naprawimy. Stwórz nowych ludzi, stwórz Ogród!

– To nie zmieni wyniku...

– Wiem! – Położyłem mu dłonie na barkach. – Chodzi o porządek wszechświata i o grę, John! Ja się nudzę. Nuudzę! Nie zostało nic. Cały świat to cmentarzysko ruin i kości. Popełniłem błąd, całą masę błędów i nie ma dnia, abym nie żałował. Spróbujmy jeszcze raz. Wróć na swoją stronę stołu i znów graj białymi! Przecież i tak wygrasz. John! Błagam cię, rozumiesz? Tym razem będzie inaczej. John! Zmiłuj się nade mną!

Nic. Pustka. Ręce straciły oparcie.

Zniknął John, zniknęły okaleczone dusze i wiedziałem, że w środku nie znajdę także Sary i Andy’ego. Pozostał zwykły dom w starym amerykańskim stylu, zbitek desek i farby.

John nie próżnował. Spaloną ziemię zastąpiła bujna trawa i zielone lasy. Byłem pewien, że tak jest wszędzie. Wróciło życie w głębinach i na łąkach; zniknęły ruiny wymarłej ludzkości, wszystkie puste trofea moich starań. Prócz tego ostatniego. To John zostawił dla mnie.

Wszedłem do salonu. Nogi ugięły się pode mną i klęknąłem. Zrobiłem to! Po tylu próbach, w końcu wzruszyłem serce z kamienia. Dlaczego zmienił zdanie? Może kiedyś się dowiem, ale teraz nie miało to najmniejszego znaczenia.

John zacznie wszystko na nowo i tym razem będę się hamował. Tym razem pozwolę ludziom wlecieć aż do gwiazd, skolonizować odległe światy, postawić pionki na innych planszach. Mam sporo czasu. Zanim przegram wśród umierających gwiazd i gasnącego wszechświata, wyciągnę z tej gry, ile się da.

Podniosłem jeden z rozrzuconych, wciąż gorących kawałków pizzy. Odgryzłem kęs. Poczuję ten smak dopiero za wiele, wiele lat. To nic. Mam czas.

Sięgnąłem myślą i wszystko stanęło w płomieniach. Ogień pożerał drewno, matę i porzucone zabawki, pełzał po schodach i suficie.

Gdzieś daleko właśnie rozkwita Eden, a w nim wielkie drzewo zaczyna puszczać pąki. Będę w listowiu, owinięty wokół gałęzi, by szeptać, kusić i rozpocząć wielką grę.

Stojąc pośród płomieni, ostatni raz rozprostowałem ramiona Mike'a.

Zaczynamy od zera.



SZCZEK

Grzegorz Rejzner

Statek Szczek kołysał się na morzu, fale lizały kadłub i zimny deszcz ciał na ukos, smagając śniadą skórę na plecach oznaczoną złotymi literami. Trup wisiał do góry nogami, za kostki. Krew ściekała z deszczówką w szczeliny desek. Pod pokładem jeszcze nie cuchnęło. Trzeba poczekać na słońce.

– A może go tak ściągnąć i odwrócić? Położyć na stole z resztą map? – zaproponował Pierwszy z niesmakiem na widok kapitana przekrzywiającego głowę. Przypominał swoją papugę, Zdradę. Ptak wolał przeczekać końcówkę sztormu w kajucie.

Pierwszy zawsze uważał zwierzęta za mądrzejsze od ludzi. Dlatego im nie ufał. Nic, co było bystrzejsze od twojego przełożonego, nie powinno żyć dostatecznie długo, by się zorientować jak korzystny bywa bunt.

– Tak, oczywiście – chrząknął kapitan.

Kilku krzepkich weteranów odrąbało meczetami nogi wisielca. Lina była zbyt cenna dla statku bez portu. Pierwszego zdziwiła ilość krwi, której śladem podążali.

– Tylko uważajcie na plecy – ostrzegł. – Jedno nacięcie na skórze i samiście spisani na pokarm dla szczurów kuka.

Chłopcy odwrócili się, popatrzyli po sobie i poprawili ciało w rękach.

Kuk słynął z dwóch rzeczy. Z braku cierpliwości i z tłustych szczurów. Wąsaty, zarośnięty ryj z szerokimi, mięsistymi ustami, skąd Hiszpanie wyrwali język, zostawiając głośny śmiech, przypominający świszczący jęk. Oparł się o framugę, kiedy wnieśli wytatuowaną zdobycz pod pokład. Wskazał na krew i włożył palec do ust ssąc go wymownie.

Pierwszy ujrzał za kukiem ciemny, zagracony kambuz z podskakującymi w mroku klatkami, skąd błyskały małe ślepia stłoczonych szczurów. Wyczuły krew. Łatwą zdobycz.

– Weź nogi z masztu i uspokój gryzonie.

Kuk zasalutował z szyderczym uśmiechem na hiszpańską modłę.

Kiedyś Pierwszy podsłuchał w porcie na Karaibach, jak dwóch młodych marynarzy rozmawiało o jedzeniu na swoich statkach. Kurczęta, peklowana wieprzowina, duszona wołowina i śledzie w occie. Na myśl o nich poczuł napływ śliny do ust i skarcił się za wyobraźnię. Nie dla niego i jego załogi takie rarytasy. Pamiętał też jak jakiś weteran skrzyknął młodych i wyłożył im dość newralgiczną prawdę o jedzeniu na morzu: dla głodnego wszystko jest jedzeniem.

Załoga Szczęka póki co zadowalała się szczurami i wodorostami, choć szybko im zbrzydły, a wyciąganie ogonów i małych czaszek z zupy nie pomagało utrzymać treści w żołądku. Liczyli na łupy z galery, którą zaatakowali o świcie, ale zerwał się nagły sztorm i zabrał ich zdobycz na dno. Sami ledwo uciekli. Zdołali jedynie porwać wydawałoby się, że kogoś cennego, bo obsada broniła go z fanatycznym zacięciem. Ten jednak skonał, musiał na coś chorować, bo padł, jak tylko go znieśli z trapu. Wszystko, co mogło, poszło nie tak z tym abordażem. Dobrze, że Pierwszy samodzielnie przeszukał dobytek porwańca.

Kiedy otworzyły się drzwi do kabiny kapitana, ze środka wypłynął dym podobny do mgły.

– Pożar – jęknął jeden z weteranów, wypuszczając ciało. Jego kompan zachwiał się i poleciał do przodu.

– Żaden pożar – rzekł kapitan, przeciskając się przez nich i Pierwszy ruszył za nim, szukając, wbrew zapewnieniom, otwartego ognia, a wtedy zakręciło mu się w głowie. Dym pachniał słodko, kadzidłami z zamtuzów portowych, w które zanurzali się, szukając innego rodzaju sztormu dla swoich krakenów. Kapitan otworzył okno, zimny wiatr wywiał dym. Brązowy hamak, stół z mapami przyprószone popiołem a na żerdzi nastroszona papuga Zdrada łypała dwoma ślepiami w przybyłych, trzecie – co przyznał Pierwszy z ulgą – było zamknięte. Mógłby za to przysiąc, że kiedy ptak ujrzał trupa, oblizał się obelżywie, łapczywie, nieludzko.

– Ruszaj. – Kapitan przegonił ptaka, a ten wyleciał w mrok przez otwarte okno.

Weterani zajrzeli do środka. Odetchnęli, nie widząc ognia i podjęli się wnoszenia trupa.

– Ostrożnie. – Pierwszy położył rękę na kordelasie przy udzie. Rękojeść dobrze leżała w dłoni, wyrobiły się na niej mocne odciski od cięcia, rąbania, pchania w miękkie brzuchy, od rozłupywania czerepów zdziwionych szybkością rzeźnickiej roboty. Kochał jej lekko zakrzywione ostrze z hakiem na końcu, mogłaby być przedłużeniem jego ciała, kolejnym członkiem, z którego był dumny najbardziej na świecie.

Jeden z marynarzy wyszedł, drugi pilnował drzwi. Pierwszy i kapitan pochylili się nad plecami zmarłego. Złote znaki lśniły w świetle lampy pokładowej, którą bawił się przeciąg.

– Ni czorta tego nie rozumiem – rzekł kapitan. Macał kikutami trzech palców obrzeża złotych znaków. Na kadłubku kciuka wytatuowana czarna papuga rozwierała dziób. Kapitan wyciągnął nóż. – Najchętniej zerwałbym ją i wysuszył. Teraz są tu jakieś nierówności.

– To ma sens. Spójrz, kapitanie. Żebra, kręgi szyjne i łopatki. Kość ogonowa, biodra... Niektóre ze znaków zostały umieszczone tak, żeby unaocznic ich położenie.

– Ale jaki to sens? Natura nie tworzy wysp na kształt zadka. Chociażem wdział kiedyś dwa wulkany pękate jak cyce. Nawet wystrzeliliśmy w ścianę jednego z nich, żeby zobaczyć, czy plaśnie, wiesz, he, he, he...

Pierwszy pokiwał głową, ale nie podobało mu się to marnotrawienie zasobów dla chorej wyobraźni. Wziął z półek spod stołu jedną z map.

– Tu mamy znane morza: Kupieckie Szlaki, Szczątki i Pas Ciszey. – Narysował między nimi palcem trzy linie.

Kapitan pokręcił głową.

– To nie jest tubylec z żadnego z nich. – Trzasnął z plaśnięciem w trupa. – Szlag go i jego towarzyszy, niech im dno srogim będzie.

– Tak, za szybko poszli na dno i jedynie rybom opowiedzą swoje tajemnice. – Pierwszy się zamyślił. – A co, jeśli...? – Wyciągnął kolejną mapę.

– Nie, nie. – Kapitan cofnął się.

– Tak! Spójrz.

Mapa przedstawiała inne strony morskich szlaków, zdradzieckich, nieznanymi tak bardzo, że ich nazwy spisano fonetycznie narzeczem zamieszkujących ich ludów: Szkryt, Pizs, Ekhel, Kthulu i wiele innych, które łamały cywilizowane języki.

Pierwszemu oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

– Tak. – Uderzył pięścią w stół. Wskazał na linię wysp ułożoną na krzyż z dwoma trójkątnym kształtami.

Kapitan pochylił się.

– Może chodzi o to – sapnął łamiącym się głosem.

Oczywiście, że o to chodzi głupcze, syknął w myślach Pierwszy.

– Tu, ten brązowy symbol w kształcie bramy pokrywa się ze złotymi z trupa. Ile zajmie nam dopłynięcie na miejsce?

– Pytanie brzmi, jak wielu z załogi poświęcimy zanim tam dotrzemy. Mieliśmy wrócić na trasy kupieckie i odrobić straty.

Pierwszy pokiwał głową. *Jeśli będziesz się opierał, stary głupcze, wtedy pierwszy trafisz do szczerów kuka i morze mi świadkiem, że damy radę.* Zamiast tego przywołał swój najlepszy uśmiech, mówiąc:

– Jeśli zawrócimy, ktoś może nas ubiec. Co się stanie ze złotymi symbolami na trupie w tym czasie? Wygarbujemy ją? Zbyt wiele niewiadomych.

Kapitan chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu skrzek:

– Da! Zdra! Da! – Papuga siedziała na oknie i jej dwie powieki po bokach były zamknięte, trzecia nad dziobem ziała mlecznobiałym zinnem oceny całej rozmowy.

Kapitan chrząknął.

– Płyniemy.

Trzy dni później uderzył w nich sztorm, posyłając statek na mieliznę, której mapa z nieodkrytymi wodami nie pokazywała. Rafa wyrwała część kadłuba. Zanim załatali dziurę fale porwały w granatową woń kilku ludzi. Ocalali mówili o wielkich mackach, demonach z głębin i wichurach – ptakopodobnych stworzeniach z kobiecymi piersiami, z dziobami i szpo-

nami. Ich łyse głowy posyłały pioruny, podpalając sznury. Stracili część takielunku, bo płomienie były czarne i nie gasły od wody, morze zdawało się je podsycać swoim gniewem.

– Mogło być gorzej – westchnął jeden z weteranów. Cuchnęło mu z gęby. Pierwszy stał obok, blisko – zbyt blisko jak na jego gust, ale chciał samemu zbadać horyzont z niewielkiego bocianiego gniazda. Luneta równie dobrze mogłaby być ślepa, a on głupi, bo wszędzie widział morze i niebo. Mąciły mu we łbie w równym stopniu, co głód. Oddał lunetę i wyszperał mapę z torby. Sprawdził kompas, położenie słońca.

– To niemożliwe. Jesteśmy na miejscu. – Rozejrzył się. Wrzasnął: – Tu niczego nie ma! – Wysunął mapę w stronę weterana.

Ten podniósł ręce w obronnym geście:

– O co to to nie, Pierwszy. Czytanie przeklina umysł. Podobnie jak dotykane map umrzyków. – Wskazał na róg mapy, gdzie odcisnięto kciukiem czerwony znak: czaszkę.

– Stępka umrzyka. Odcina się kciuk i rzeźbi w mięsie oraz kości, aż robi się mała czaszka. Bo wiecie, martwi nie zdradzają sekretów.

Pierwszy się zafrasował. Nie podzielał wielu przesądów morza, ale je szanował. Były częścią tradycji. Tyle, że dziki zwierz w żołądku powoli tracił cierpliwość, domagał się mięsa.

– Nie musisz jej dotykać. Spójrz po prostu na ten ciemny znak.

Weteran przymrużył oczy. Pociągnął nosem.

– To gównno.

– Co?

– Wygląda i pachnie jak ptasie gównno.

Pierwszy sklął. Zdrapał paznokciem symbol i ten się rozpadł.

– Cholerna papuga! – syknął. – Wyrwę jej pióra.

Weteran pokręcił głową.

– Nie można krzywdzić Pychy.

– A to co znowuż?

– Powiadają, że...

– Gównno mnie to obchodzi.

Weteran wskazał na mapę.

– Widać. A teraz trzeba powiedzieć kapitanowi.

– Co mam mu powiedzieć? Że jesteśmy w dupie, bo ptaszysko nasrało na mapy? Trup zgnił i ze złotych znaków zostały szerniałe szramy? Czy, że wszyscy skończymy w szalupie na otwartym, nieznanym i najwyraźniej martwym morzu?!

– Tak, chyba wystarczy na początek.

Pierwszy podarł mapę, chwycił za kordelas i przerąbał weteranowi kark. Ostrze przeszło gładko i zaszło się w maszcie. Głowa marynarza stoczyła się i z chłupotem wpadła do morza.

Niech cię wiatry porwą, głupcze, jeśli nie skończysz w garze ze szczurami, na tę myśl Pierwszemu pocięła ślinka.

Niebo nagle pociemniało, ale bez żadnej chmury, jakby ktoś zgasił lampę, zdusił pochodnię butem w piach. Morze uspokoiło się, wiatr ustał, a żagiel opadł, choć chwilę napinał wszystkie liny.

Kolejny sztorm? Pomyślał, że nie mogło się to zdarzyć w gorszym momencie.

Pierwszy zsunął się po linach i pobiegł do kabiny kapitana. Co dziwne był tam również kuk, siedział na jedynym krześle pod ścianą ze zwieszoną głową. Papuga stroszyła pióra na jego ramieniu. Słaby podmuch z okna bawił się włosami kapitana, który stał tyłem, w rękę trzymając czapkę.

– Kapitanie, sztorm.

Zagadnięty ani drgnął.

Pierwszy wyjrzał przez okno, woda wokół statku zakotłowała się. Zerwał się wiatr, dął na zewnątrz od statku. Z toni wyskoczył obły, podłużny kształt, wielki jak wieloryb i blady jak ceramiczna miska. Gdy huknął, poszła fala, przechylając statek na bok. Pierwszy sądził, że zatoną, ale wtedy wrócili do poziomu. Zaciskał paznokcie na parapecie.

– Da! Zdra! Da! Da!

Z wielkiego obiektu oderwały się mniejsze cząstki i leciały, chociaż nie jak ptaki, raczej jak rzucone kamienie z własnym rozumem, wbrew wiatrowi. Kiedy się zbliżyły, z pokładu dobiegły krzyki.

Część małych kształtów wpadła do kabiny kapitana. Pierwszy zatoczył się, kiedy obiadły go małe, pulsujące główki z czterema mackami zakończonymi paszczami. Gryzły go i kasały, a on wymachiwał rękoma, próbując je strącić. Siorbały ciekącą krew. Jeden kształt wsiąknął w gałkę oczną, inny w ucho i po tej stronie ciała Pierwszego przeszedł prąd. A potem nie poczuł już niczego poza potrząsaniem przez gęby, mlaszczące i rwące mięso.

Zaklął, kiedy przypomniał sobie, że kordelas zostawił wbity w maszt na bocianim gnieździe. W końcu opadł bez sił na deski.

– Życie to ciekawa zagadka – zaskrzeczał kapitan – Skarb. Da!

– Zdra! – podjęła papuga.

– Da! – dokończył kapitan. Dotknął kikutem kciuka nos Pierwszego, na którym jeden z morskich potworów urządził sobie ucztę. Blizna po palcu przypominała czaszkę.

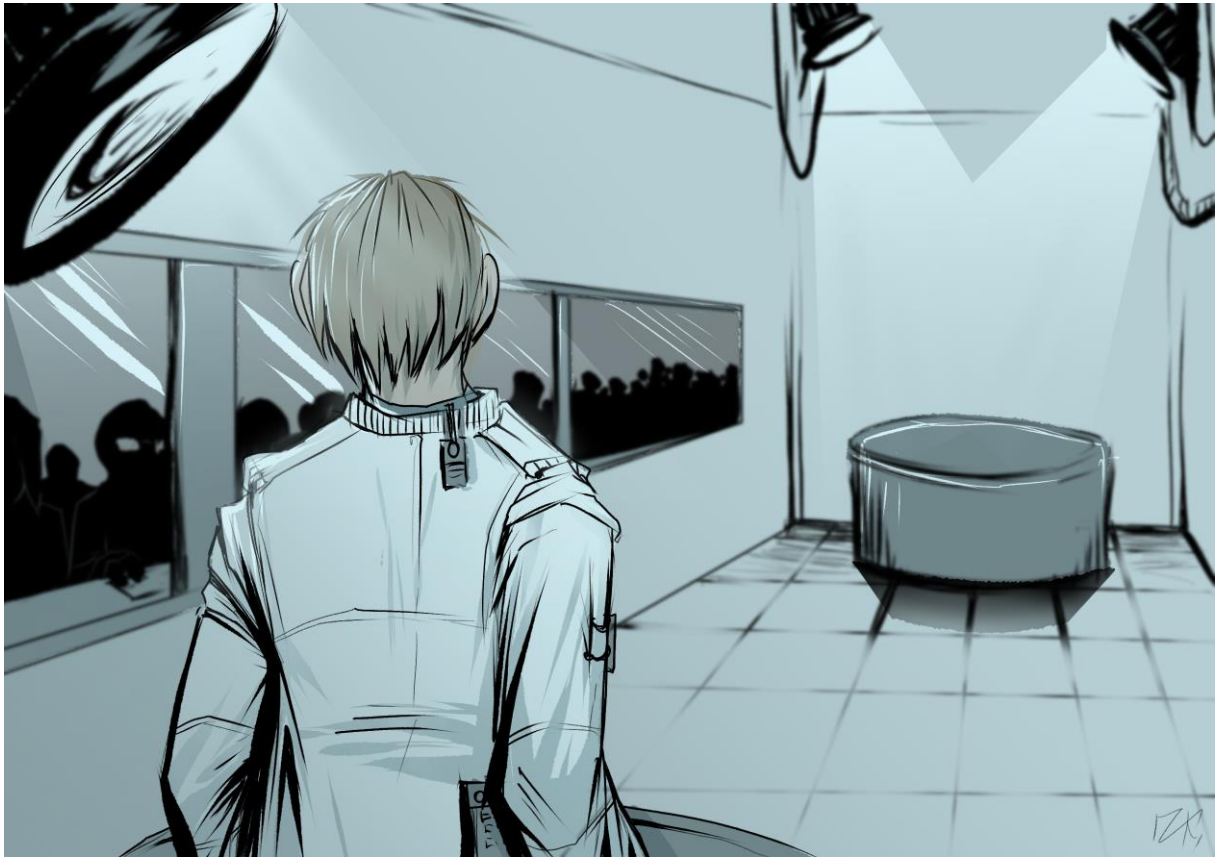
Pierwszy kątem oka zobaczył również kuka, który zapiszczał, ale kiedy otworzyły się jego usta, z gardzieli wysunął się tłusty szczur z mlecznymi ślepiami.

Papuga przyfrunęła na stół z mapami.

– Życie to najlepsze pożywienie – rzekła Zdrada słowami kapitana, ten zaś runął jak kukła i się rozsypał. Spod ubrań wybiegły małe kraby, wszystkie blade, trupie jak ogołoczone z mięsa kości.

Szczęk płynął jeszcze kilka chwil, a potem wielki, obły kształt pochłonął go w całości. Wtedy zniknął w głębinach.

Papuga zaś oddaliła się tam, dokąd kierowało ją trzecie oko, ślepe i głodne.



TUNEL

Emil Zawadzki

Początek dwudziestego drugiego wieku naszej ery był bardzo ekscytującym okresem w historii ludzkości. Był to czas wielkich odkryć naukowych i rozwoju nowatorskich technologii wykorzystywanych w najróżniejszych dziedzinach życia. To właśnie wtedy założono pierwszą kolonię na Marsie, co pozwoliło ludziom coraz śmielej spoglądać w przestrzeń kosmiczną. Wtedy też udało się opracować lek na raka, ratując dzięki temu setki istnień na całej naszej planecie. Jednakże najwybitniejszym osiągnięciem ludzkości było wynalezienie sposobu na natychmiastową teleportację dowolnego obiektu. Było to bezsprzecznie największe odkrycie od czasu wynalezienia koła. Na początku bardzo się cieszyłem, że miałem znaczący wkład w tym wiel-

kim przedsięwzięciu. Nie miałem pojęcia, że przyczynię się w ten sposób do upadku ludzkości...

Fragment z dziennika doktora Thomasa Jensena.

Wszystko zaczęło się od opracowania wzoru na teleportację na poziomie kwantowym. Teleportacja polegała na zakodowaniu i skompresowaniu obiektu doświadczalnego w jednym miejscu, a następnie odtworzeniu go w dowolnym, innym miejscu na ziemi. Dość szybko wynaleziono technologię, która potwierdziła wcześniejsze zapisy teoretyczne. Teleportacja stała się faktem. Po udanych próbach z różnego rodzaju przedmiotami, podjęto pierwsze eksperymenty na istotach żywych. Na początku ogromnym sukcesem było teleportowanie muszki owocówki. Tego samego udało się dokonać ze szczurem, psem, aż wreszcie nawet z szympansem. W każdym z tych przypadków zwierzę poddane teleportacji było później całkowicie zdrowe, nie dało się zaobserwować żadnych skutków ubocznych. Cały świat zachwycił się nieograniczonym potencjałem nowej technologii, co doprowadziło do coraz śmielszych eksperymentów z jej użyciem. Teleportowanie pierwszego człowieka miało już być tylko kwestią czasu.

Szczęśliwcem wybranym do wiekopomnego eksperymentu był Aleksander Lang, najlepszy spośród setek tysięcy kandydatów poddanych wyczerpującym testom wytrzymałościowym. Zainteresowanie było ogromne, a pana Langa jeszcze przed próbą generalną porównywano do Neila Armstronga. Poza tym, ryzyko wydawało się znacznie mniejsze niż w przypadku podróży na Księżyc. Przeprowadzono już niezliczoną liczbę teleportacji na żywych organizmach i wszystko wskazywało na to, że jest to proces całkowicie bezpieczny. Do przełomowego wydarzenia miało dojść na terenie Europejskiego Ośrodka Do Badań Zjawiska Teleportacji.

– Nie ma powodów do obaw Aleks – przypomniał po raz kolejny doktor Thomas Jensen, psycholog czuwający nad przygotowaniem kandydata do eksperymentu. – To nic innego, jak przesunięcie w czasie i przestrzeni. Będzie trochę tak, jakby ktoś cię lekko popchnął. Dosłownie w kilka sekund staniesz się najślawniejszym człowiekiem na naszej planecie.

Mimo wszystkich tych zapewnień, mimo świetnie zdanych testów, Aleksander bardzo się stresował w dniu eksperymentu. Pojawił się w głównym laboratorium, ubrany w specjalny kombinezon wypełniony różnymi czujnikami, które miały monitorować jego stan zdrowia

w czasie teleportacji. Poza Aleksandrem w pomieszczeniu było wielu innych ludzi: dziesiątki naukowców, ochroniarzy i dziennikarzy. Wielkie reflektory skierowane były na środek sali, gdzie znajdowały się dwa walcowate podwyższenia. Były oddalone od siebie zaledwie o dwa metry i to właśnie na taką odległość miał zostać teleportowany Aleksander.

– Jest pan gotowy? – zapytał któryś z naukowców, kiedy Aleksander powoli przemierzał salę w stronę pierwszego podwyższenia. Przyszły najstynniejszy człowiek na Ziemi zdołał jedynie kiwnąć głową w odpowiedzi, czując, że bardzo zaschło mu w ustach. Jego prosty gest najwyraźniej wystarczył, bo naukowiec skierował w jego stronę dłoń z uniesionym kciukiem. Chwiejnym krokiem Aleksander wszedł na pierwsze podwyższenie.

– Wszystkie odczyty w normie! Możemy zaczynać! – zawołał główny asystent, gdy ochroniarze odciągali na bok wszystkich dziennikarzy próbujących za wszelką cenę uwiecznić całe zdarzenie z bliska.

– Kodowanie kwantowe za trzy... Dwa... – Aleksander czuł, jak niewielka platforma pod jego stopami zaczyna lekko wibrować. Mężczyzna zastanawiał się, co poczuje w czasie teleportacji. Wedle wszelkich wyliczeń naukowych nie powinien poczuć zupełnie nic, ale dopiero teraz miał zweryfikować tę teorię samodzielnie. A może to już się stało? Nie. Aleksander nadal widział przed sobą drugie podwyższenie, na którym miał dopiero się pojawić. Każda sekunda dłużyła mu się teraz niemiłosiernie.

– Jeden! – zawołał głośno naukowiec, po czym rozległo się wycie syren. – Powodzenia! Startujemy!

Ostre światło reflektorów wyraźnie zbladło, wydawało się być w jakiś sposób rozedrgane. Wcześniejszy ryk syren urwał się raptownie, a Aleksander czuł, że wszystko wokół niego lekko się trzęsie. Nadal stał na pierwszej platformie, ale miał wrażenie, że pęd powietrza ciągnie go w stronę drugiego podwyższenia. Bardzo, bardzo powoli. Jeszcze chwilę temu słychać było gwar głosów podnieconych naukowców i dziennikarzy, a teraz wszędzie panowała nieprzyjemna wręcz cisza. Poza tym Aleksander odczuwał dziwny opór, ledwie mógł się poruszyć. Przez niewiarygodnie długi czas obracał głowę, żeby rozejrzeć się po sali. Okazało się, że wszyscy ludzie wokół niego zamarli w najdziwniejszych pozach, byli niczym zamrożeni. Niektórzy mieli rozchylone usta, jakby właśnie próbowali coś powiedzieć, a inni patrzyli na niego tępym wzrokiem. We wszystkich było coś niewytłumaczalnie nienaturalnego. Aleksander miał wrażenie, że patrzy tylko na rozmazane zdjęcie osób wokół siebie, zamiast na prawdziwych ludzi.

Dopiero po dłuższej chwili, w miarę jak mężczyzna przyglądał się ludziom w pobliżu, zaczął dostrzegać więcej szczegółów. Zauważył coś, co bardzo go zaniepokoiło. Otaczali go

nie tylko ludzie. Pomiędzy naukowcami i dziennikarzami znajdowały się jakieś dziwne istoty, przywodzące na myśl wyblakłe cienie. Aleksander próbował krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Widział tajemnicze, szare postacie, których kontury były jeszcze bardziej rozmazane niż kontury ludzi stojących dookoła. Tylko oczy przerażających cieni odznaczały się na tle całej sylwetki, oczy połyskujące bladym światłem odbitym od reflektorów. Istoty wydawały się być zaciekawione i skupione wyłącznie na nim. Instynkt podpowiedział Aleksandrowi, że cienie były czymś wrogim, czymś nie pasującym do naturalnego porządku rzeczy.

Nieoczekiwane i brutalne szarpnięcie przeniosło mężczyznę na następną platformę, ale czas nadal płynął w zwolnionym tempie. Aleksander potrzebował chwili na zrozumienie swojej nowej sytuacji, na oswojenie się z gwałtowną zmianą percepcji. Zerknął w prawo na tyle, na ile mógł poruszyć głową i poczuł zimny, nieprzyjemny dreszcz. Wszyscy ludzie nadal stali na swoich miejscach, ale złowrogie cienie znajdowały się znacznie bliżej. Otaczał go co najmniej tuzin bladych, szarych, rozedrganych postaci. Ich straszne ślepia wpatrywały się w niego z wyraźnym zaciekawieniem. Nagle, w ciągu ułamka sekundy, oblicza istot zupełnie się zmieniły. Na każdej z rozmytych twarzy pojawił się nienaturalnie szeroki uśmiech, prezentujący dwa rzędy wielkich, białych kłów. Potworne cienie najwyraźniej były z czegoś bardzo zadowolone. Minęło kilka przedłużających się w nieskończoność sekund, aż Aleksander zrozumiał, o co mogło im chodzić. Poczł lekki opór na swoim prawym ramieniu. Wytężył wszystkie siły, by obrócić głowę odrobinę bardziej. Zobaczył ogromną, czteropalczałą dłoń zaciśniętą na swojej ręce. Widział szarą, popękaną skórę i długie, śmiertcionośne szpony. Widok ten przeraził go do szpiku kości.

– Nie! Nie! Precz! Odejdź! – wydarł się nagle na całe gardło Aleksander.

Mężczyzna leżał na drugiej platformie, rozglądając się dookoła ze strachem w oczach. Wszędzie widział tylko zaskoczone oblicza otaczających go z każdej strony naukowców. Nigdzie nie było choćby śladu po szarych cieniach. Aleksander znowu słyszał głosy ludzi oraz wycie syreny. Poderwał się na nogi i skoczył w stronę ściany, potrącając po drodze kilku mężczyzn.

– Niech się pan uspokoi! Już po wszystkim! – krzyknął jeden z naukowców. Uśmiechnął się triumfalnie, a kilku jego kolegów zaczęło głośno bić brawo i wiwatować. – Został pan właśnie pierwszym teleportowanym człowiekiem.

– Nie! Nic nie rozumiecie! Nie widzieliście ich?! Boże! Nie! – wykrzyczał Aleksander, przywierając do ściany plecami. Gdy tylko ktoś próbował się do niego zbliżyć, to szaleń-

czo machał rękami, byleby tylko zapewnić sobie więcej wolnej przestrzeni. Wodził wzrokiem po otaczających go ludziach, próbując wypatrzeć wśród nich potworne istoty.

– Spokojnie Aleksandrze, jesteś już bezpieczny – odezwał się kojącym głosem doktor Thomas Jensen, który przepchnął się właśnie przez naukowców i dziennikarzy. Najwyraźniej przybiegł do laboratorium tuż po tym, jak usłyszał pierwsze krzyki zwiastujące kłopoty. – Powiedz nam po prostu co takiego zobaczyłeś. Czy to wydarzyło się przez ułamek sekundy, kiedy byłeś teleportowany?

– Ułamek sekundy?! Doktorze, to trwało znacznie dłużej! Widziałem ich szare, paskudne gęby! Patrzyli na mnie cały czas i szczyrzyli swoje ostre kły! To trwało tak bardzo długo... Nie mogę zapomnieć tego widoku! Proszę, pomóżcie mi o tym zapomnieć...

Doktor Thomas rozejrzał się po otaczających go ludziach z zakłopotaniem. Nikt poza Aleksandrem nie zobaczył niczego podejrzanego w czasie eksperymentu. Nikt też nie zwrócił uwagi na bladyszarą, nieludzką postać, która właśnie wymykała się ukradkiem z laboratorium...

Nie podjęto kolejnej próby teleportowania ludzi. Nikt nie chciał już ryzykować własnego zdrowia psychicznego po tym, jak wyszło na jaw, w jak opłakanym stanie był Aleksander Lang. Powszechnie uznano, że umysł ludzki był całkowicie nieprzystosowany do takich zjawisk, jak teleportacja. Mądrzy teoretycy uznali za najbardziej szkodliwe oddziaływanie kwantowe mogące wywoływać groźne, doprowadzające do szaleństwa halucynacje.

Nie zaprzestano jednak badań nad teleportacją przedmiotów nieożywionych. Naukowcy skupili się na wykorzystaniu tego zjawiska w innych dziedzinach życia. Zaczęto transportować towary wszelkiego typu właśnie przy użyciu teleportacji, co pozwoliło na usprawnienie logistyki w niemal każdej możliwej branży. Szczytowym osiągnięciem w tej dziedzinie stał się tak zwany "Tunel". Było to stale utrzymywane połączenie kwantowe między Europą a Ameryką Północną, umożliwiające natychmiastową teleportację setek przedmiotów o dowolnej masie.

Stan zdrowia Aleksandra nie poprawił się nawet po wielu miesiącach od dnia nieszczęsnego eksperymentu. Doktor Thomas umieścił go w prywatnej placówce, specjalizującej się w leczeniu różnego rodzaju schorzeń umysłowych. Doktor liczył na to, że jego pacjent odzyska pewnego dnia poczytalność. Niestety, żaden rodzaj terapii nie przynosił najmniejszej nawet poprawy. Wręcz przeciwnie, z czasem było coraz gorzej.

Aleksander skarżył się wielokrotnie, że cały czas zdarza mu się widywać tajemniczą, szarą postać. Czasami, gdy wieczorem spoglądał w lustro, widział w nim odbicie swoje oraz czającej się tuż za nim postaci z wielkimi, żarzącymi się blaskiem oczami. Jednak zawsze, gdy tylko Aleks oglądał się za siebie, nie dostrzegał nigdzie swojej nemezis. Jeszcze gorzej było nocami. Aleksandrowi zdarzało się budzić o różnych godzinach, szczególnie gdy dokuczały mu koszmary związane z przeżytą traumą. Widział wtedy w ciemnościach zarys kogoś, kto stał pod ścianą i wpatrywał się w niego pozbawionymi źrenic oczyma. Aleksander wołał w takich wypadkach o pomoc, ale gdy pracownicy szpitala psychiatrycznego wbiegali do jego pokoju, po nieproszonym gościu nie było nawet śladu. Mężczyzna popadł w końcu w paranoję i wszędzie zaczął szukać złowieszczonego cienia.

Potwór zawsze trzymał się gdzieś na uboczu, zawsze tylko obserwował. Trwało to nieprzerwanie aż do drugiej rocznicy eksperymentu z teleportacją. Aleksander obudził się w środku nocy, cudem wyrwany ze złego snu, w którym ponownie przeżywał moment swojego załamania nerwowego. W pokoju panowały całkowite ciemności, dzięki czemu mężczyzna odetchnął z ulgą. Nie widział nigdzie tajemniczego cienia, więc mógł liczyć na to, że uda mu się spokojnie zasnąć.

– Witaj Aleksandrze – odezwał się w głębi pokoju ktoś o nieprzyjemnej, metalicznej barwie głosu. Nieznajomy wypowiadał słowa z wyraźnym trudem, jakby nie do końca był przystosowany do mówienia.

Mężczyzna poderwał się do pozycji siedzącej, czując, że serce zaraz wyskoczy mu z klatki piersiowej. Do tej pory złowroga istota jeszcze nigdy się nie odezwała. Czyżby się przesłyszał?

– Jest tu ktoś?

– Tak... – rozległ się ponownie ten sam metaliczny głos. – Jestem tu dzisiaj, żeby ci podziękować. Gdyby nie ty, nie udałooby mi się dostać do waszego świata...

– Kim jesteś? Albo raczej czym jesteś? – odważył się zapytać Aleksander po bardzo długiej chwili milczenia. Serce waliło mu coraz mocniej. Na krótką chwilę blask księżyca przebił się przez gęste chmury i wdarł przez okno, oświetlając nieznacznie cały pokój. Aleksander nie zdążył nigdzie dostrzec bladoszarej postaci.

– Należę do prastarej rasy, która trafiła na tę planetę na długo przed tym, jak pojawił się tu twój gatunek. Niestety, przez wzgląd na warunki tu panujące, mieliśmy bardzo ograniczony wpływ na otaczający nas świat. Mogliśmy tylko obserwować, cały czas pozostając niezauważonymi. Powiedzmy, że byliśmy tam, gdzie wy, ale na zupełnie innej częstotliwości...

– Czego ty w ogóle chcesz? Czemu mnie dręczysz?! – Fakt, że nigdzie nie było widać nieprzyjaznego cienia dodawał mężczyźnie odwagi.

– Czy pamiętasz eksperyment, w którym brałeś udział, Aleksandrze? Tego samego dnia, my też postanowiliśmy przeprowadzić eksperyment. Za każdym razem, gdy wy coś teleportowaliście, pojawiała się to na bardzo krótką chwilę u nas. Zastanawialiśmy się, co by się stało, gdybyśmy razem z tym przedmiotem przedostali się do waszej czasoprzestrzeni. To właśnie ja zaryzykowałem, to ja złapałem cię za ramię i dzięki temu udało mi się przedrzeć przez niewidzialną zasłonę, która od wieków oddzielała nasze gatunki. Przez ostatnie dwa lata ukrywałem się, słuchałem was, uczyłem się. Powoli poznawałem zawilosci waszego języka, a dziś możemy już porozmawiać. Czy wiesz, Aleksandrze, czego później dowiedzieli się moi współpracownicy?

Księżyc ponownie przedarł się przez chmury. Aleksander zobaczył poręcz na krańcu swojego łóżka. Widział też, jak zza poręczy wyłania się szara, czteropalczysta dłoń. Obrzydliwie nabrzmiałe palce zacisnęły się powoli na krawędzi łóżka, a ostre pazury wbiły w materac.

– Nie wiem... – Aleks czuł, jak opuszcza go cała zebrana do tej pory odwaga. Jeszcze chwilę temu łudził się, że to może jakiś żart, że to jeden z innych pacjentów zakradł się nocą do jego pokoju. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, z kim miał do czynienia.

– Możemy przedostać się do waszego świata, gdy teleportujecie dowolny przedmiot – Metaliczny szept dochodził z coraz bliższej odległości. – Nie musi to być wcale człowiek. Czy słyszałeś o urządzeniu, które twoi ludzie nazwali Tunelem? Czy wiesz, jak wiele przedmiotów teleportowanych jest za jego pomocą w każdej sekundzie przez ocean, zwany przez was Atlantykiem? Czy domyślasz się, jakie to daje możliwości innym przedstawicielom mojego gatunku?

– Nie! Ty nawet nie istniejesz! Ja jestem po prostu chory, a ty jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni! – krzyczał Aleksander, wpatrując się w złowieszczą postać wyłaniającą się spod jego łóżka.

– Jestem prawdziwy – odpowiedział stwór, wychylając głowę znad łóżka. Mężczyzna po raz pierwszy w życiu mógł dokładnie przyjrzeć się twarzy tej istoty. Widział wielką głowę pokrytą szarą skórą, w wielu miejscach popękana i sprawiającą wrażenie rozkładającej się. Wielkie oczy rozjarzyły się bladym blaskiem, kiedy stwór zaczął wpatrywać się w Aleksandra. Poniżej oczu znajdowały się szerokie usta, które bardziej przywodziły na myśl rozszarpaną ranę, poruszającą się dziwnie przy każdym słowie. – Wszyscy jesteśmy prawdziwi...

Dopiero teraz Aleks zorientował się, że w jego pokoju było ich więcej. Kilka innych par błyszczących oczu przyglądało się mu z każdej strony pomieszczenia.

– Po... Po co mi to wszystko w... W ogóle... Mówisz? – wyjąkał Aleksander, przeczuwając, że nie spodoba mu się odpowiedź.

– Z wdzięczności. Gdyby nie ty, nie byłoby nas tutaj. Jutro dowie się o nas cały świat. Cieszysz się? Już nikt nie będzie myślał o tobie, jak o wariacie... – Potwór zaczął przechylać się powoli przez łóżko, zbliżając swoją wstrętną twarz coraz bliżej i bliżej. – Zaslugujesz na to, by dowiedzieć się o wszystkim jako pierwszy. A poza tym... Postanowiliśmy przeprowadzić dziś jeszcze jeden eksperyment z twoją pomocą...

Nagle potwór uśmiechnął się szeroko, ukazując ogromne, białe kły. Jego pobratymcy stojący w oddali zaczęli szczerzyć się w podobny sposób. Aleksander modlił się w duchu, by księżyc znowu zakryły chmury, by przekłety blask nie wdzierał się już do jego pokoju, byleby tylko mógł nie patrzeć na tę odpychającą istotę.

– Widzisz Aleksandrze, my nie wiemy jeszcze, co mamy z wami począć, jak już opanujemy wasz świat... Uznaliśmy, że sprawdzimy dziś, czy nadajecie się do jedzenia...

Ostatnim, co Aleksander zobaczył w swoim życiu, były dwa rzędy ostrych kłów błyskawicznie zmierzających w stronę jego twarzy. Zdołał tylko krzyknąć rozpaczliwie, budząc tym krzykiem połowę szpitala psychiatrycznego.

Wśród wyrwanych ze snu był także doktor Thomas Jensen, pełniący tej nocy dyżur w placówce. Zaniepokojony zerwał się z łóżka i przebiegł z sypialni do swojego prywatnego gabinetu, by wyrzeć przez okno na dziedziniec szpitala. W mroku nocy dostrzegł kilka nienaturalnie chudych postaci przypominających szkielety obleczone w skórę. Blask księżyca ujawnił bladoszare, nienaturalnie powykrzywiane sylwetki oddalających się potworów. Doktor Thomas wystarczająco wiele razy wysłuchał nieprawdopodobnej historii Aleksandra, by rozpoznać w kształtach na dziedzińcu monstra, które od tak wielu miesięcy nie dawały spokoju jego pacjentowi. Podświadomie wiedział, że było już za późno, by jeszcze raz porozmawiać na ten temat z Aleksandrem.

Jak już wspominałem, początek dwudziestego drugiego wieku naszej ery był bardzo ekscytującym okresem. Natomiast końcówka dwudziestego drugiego wieku odznaczała się nieustającą grozą i szaleństwem. Te przekłete potwory całkowicie nas zaskoczyły. Pojawiały się w ogromnej liczbie wszędzie tam, gdzie znajdowały się skupiska urządzeń teleportujących.

W chwili, gdy piszę te słowa, ludzkość szykuje się do ostatniej, desperackiej próby odparcia wroga. Decydująca bitwa ma się odbyć u wrót Tunelu, gdzie szarzy zgromadzili swoje największe siły. Widziałem z jaką zawziętością walczą te potwory. Dlatego nie wiem, czy jakkolwiek człowiek dożyje początku następnego stulecia. Nasze największe odkrycie przyczyniło się do naszej zagłady.

Fragment z dziennika doktora Thomasa Jensena.